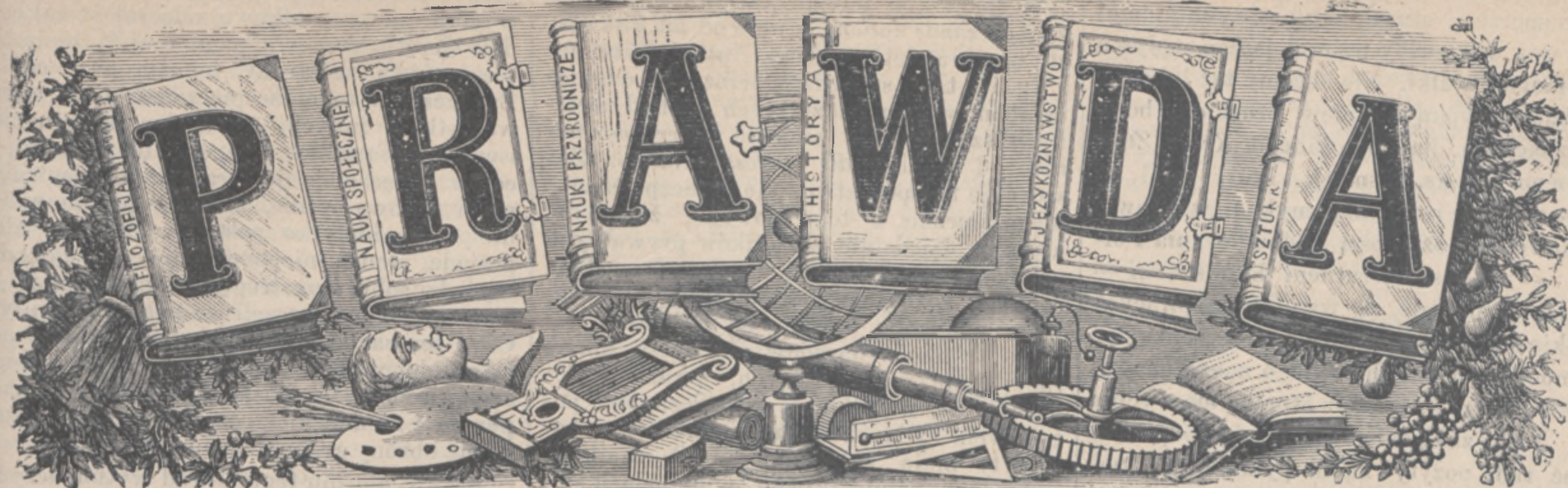
№ 43. Warszawa, dnia 22 (10) Października 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ODPOWIEDŹ PROSTA.

Jak gdybyśmy nie znali wcale własnej historyi, jak gdybyśmy nic nie wiedzieli o wykopaniu nam grobu przez prusaków, jak gdybyśmy nawet zapomnieli o ich przewrotności w ostatnich czasach, słowem — jak gdybyśmy od wczoraj oglądali świat, krecimi podkopami zryty, ręka niemiecka rzuca nam garść plew, niby stadu naiwnych gilów. W polemice z petersburskim *Swietem* berlińska *Kreuz-Ztng* raczy swego przeciwnika i nas ni mniej ni więcej tylko zapewnieniem, że gdyby polacy zrzekli się swych ziem pod zaborem pruskim, w Berlinie „poważnie" pomyślanoby „o odbudowaniu Polski," jako przepierzenia od Rosyi. Ale czytajmy tę obietnicę w dosłownem brzmieniu, bo każdy jej wyraz jest klejnotem bezczelności. „Dopóki — mówi *Krzyżaczka* — dążenia polskie zwracać się będą przeciw granicom Niemiec, przeciw krajowi, w ciężkich, wiekowych bojach naprzód przez krzyżaków, a potem fizycznie i moralnie (!) przez prusaków zdobytemu, o popieraniu, albo choćby nawet o tolerowaniu tych dążeń nie może być mowy. Według nas (naturalnie), germanizacya Poznańskiego jest największem dobrodziejstwem (!) dla idei polskiej. Skoro zostanie dokonana i skoro przywódcy polscy wyrzekną się swych mrzonek względem dzielnic nad Bałtykiem, natenczas niemcy będą z nimi mówić. Nie jest to przecież tak bardzo niemożliwem, że gdy Rosyi coraz mniej ufać można, Niemcy uważają za rzecz pożądaną utworzyć państwo przegradzające (*Zwischenstaat*), któreby w takim razie musiało mieć zapewnione warunki do życia." Zdaje się, że dolatują do nas echa depesz i listów Fryderyka, szczerego „przyjaciela Polski," który ją przed stu laty „odbudowywał." Doprawdy krzyżak uważa nas — przynajmniej względem siebie — za nieuleczalnych. Ależ nic dziwnego...

„Bezpośrednią, praktyczną doniosłość — mówi *Gazeta polska* — posiada dla nas pytanie: jak wobec syrenich głosów niemieckich zachowują się i jak zachować powinni poznańczycy?" Pytanie to wydaje nam się wprost naiwnem i dwu zdań niedopuszczającem. Jak wobec tej przynęty powinni się zachować poznańczycy? Roześmiać się, jeśli jeszcze mają humor, ruszyć ramionami, jeśli już go stracili. Bo nawet gdyby tu handel był możliwy a spólnik budził zaufanie, czego poznańczycy mają się wyrzec? Tego, co im prusak wydarł i nie odda, czy pozostawionej resztki — myśli, uczuć i życia naturalnego w rodzinie? Ależ to nie kurta, którą zdjąć, nie prosię, które oddać można. To rdzeń człowieka, jego mózg, nerwy, serce — przedmioty niewymienne. A może prusak żąda, ażeby niewypędzona i uprawniona gromada polaków wyniosła się z siedzib rodzinnych i powędrowała do fantazyjnej „Polski?" Wymaganie zbyt głupie.

Cały wywód dziennika berlińskiego, wzięty pod adresem polaków, jest tak niedorzeczny, że musimy w nim przypuścić inne przeznaczenie, które łatwo dostrzeżemy, zważywszy, co go wywołało. Wykrzesała go polemika z prasą rosyjską i dla niej został przeznaczony jako postrach, albo raczej — jako środek drażniący. *Kreuz-Ztng* wie z doświadczenia, że tą pokrzywą zawsze przeciwniczkę sparzy, a teraz ma powody jej nie oszczędzać. A gdy znamy cel „odbudowania Polski" na bibule pruskiej, posłuchajmy, co odpowiada bezpośrednio zaczepiony *Swiet*.

„Rozumie się— pisze on — iż groźby *Kreuz-Ztng* dla nikogo nie są straszne. Wszyscy wiedzą, że idea „odbudowania Polski z gubernij nadwiślańskich" jest najczystszym nonsensem. Wszyscy wiedzą również, iż Rosya powstanie cała, jako jeden mąż, skoro tylko będzie mowa o najmniejszem niebezpieczeństwie, grożącem jej całości terytoryalnej: Europa wypróbowała to w r. 1863. Na szczęście społeczeństwo polskie zdążyło nauczyć się wiele w ostatnich 20 — 25 latach i teraz, z wyjątkiem niewielu, mieszkających za granicą magnatów, którzy marzą o odbudowaniu szlachecko-jezuickiego królestwa, cała zdroworozsądna część społeczeństwa polskiego, porzuciwszy podobne rojenia, myśli tylko o spokojnym rozwoju cywilizacyjnym i ekonomicznym swej ojczyzny. Niemniej wszakże byłoby łudzeniem się z naszej strony, gdybyśmy ukrywali, że zupełnego porozumienia się pomiędzy ruskimi a polakami dotąd nie ma, że zatem podobne bzdurne artykuły wpływowych gazet niemieckich, w rodzaju powyższej, mogą mieć pewien wpływ na niektórych ludzi lekkomyślnych.

Przypuszczamy, iż zastanawiając się głębiej nad historyą Polski od czasu rozdziału, polacy zrozumieją, że Rosya była haniebnie oszukaną przez swych pozornych sprzymierzeńców i przyjaciół — niemców, którzy dobrze pojmowali, co robią, oddając Rosyi tylko część tego, co jej się należało z prawa. Zakomunikowana nam w drodze telegraficznej opinia *Kreuz-Ztng* z zupełną otwartością wypowiada to, o czem oddawna już marzy daleko widzący kanclerz niemiecki. Wypędzenie polaków z Poznańskiego i dążenie do zgiermanizowania pruskiej Polski przedstawia się teraz w nowem oświetleniu. Jasnem jest, że uczciwy mekler, myśląc o zupełnem wykorzenieniu elementu polskiego w Prusach, wskazuje na Warszawę. Spodziewa się on wejść w układy z polakami, wypędziwszy ich z gniazd rodzinnych i proponuje natomiast to, co należy do „państwa przyjaznego."

Oczywiście polacy nie dadzą się złowić na wędkę, lecz zawsze przyszedł czas odkryć podstępny plan polityków berlińskich. Należy im dać poznać, że kopiąc pod innymi dołki, sami wpaść w nie mogą. Niemcy, popierające dążenia polityczne polaków, są czemś tak potwornem, że stanie się to jasnem nawet dla najzajadlejszych polaków. Lecz biada naszym przeciwnikom, jeżeli Rosya podtrzyma prawowite żądania polaków, znajdujących się obecnie w jarzmie niemieckiem."

Gdyby dwu olbrzymów zaczęło się bić niemowlętami, mielibyśmy obraz podobny

do tego, który nam się rysuje w powyższym sporze. Naturalnie głos owych niemowląt nie wywarłby najmniejszego wpływu na przebieg walki. Nie chcemy też łakomie dziobać posypanych plew pruskich, bo je przeznaczono dla kogo innego. *Kreuz-Ztng*, zarówno jak ks. Bismark, który miał na wiosnę 1886 roku napomykać w mowie sejmowej o możliwości „odbudowania Polski“ — co jest wierutnem kłamstwem — wiedzą doskonale, że wszelkie „aspiracye“ polskie są bezsilne, a więc o „zrzeczenia się“ niemocy nikt nie dba. Nie o nas tu chodzi, bo nie chodzi o krzak, z którego się wycina kij. Jeśli zaś koniecznie trzeba odpowiedzieć radą pozytywną na pytanie, jak „powinni się zachować poznańczycy,“ dajemy ją: niech kupią sobie i przeczytają dzieło Kalinki o *Sejmie czteroletnim*; on ich doskonale objaśni, jak prusacy „odbudowywują Polskę.“

PAS NEUTRALNY.

Nie wiem, czy są, zdaje mi się jednak, że napróżno ze świecą szukanoby pomiędzy obywatelami Helwecyi takich, coby skromniutkie Szwajcaryi położenie mieniać zechcieli na wielkość i potęgę któregokolwiek z sąsiadów swoich. A mają dobrane znakomicie sąsiedztwo. Z jednej strony Włochy połączone — Italia, ojczyzna sztuk, odrodzicielka nauk, sławna, zasłużona, piękna, ciepła, pełniąca w chwili obecnej funkcyę muzeum, którego żaden szanujący siebie człowiek nie omija, przysposabiająca się do odegrania ważnej w przyszłości roli. Z drugiej strony przylega do ojczyzny Tella monarchia austro-węgierska sławna mądrością subtelną, polegającą na niekażdemu danej umiejętności kręcenia z piasku biczów i powożenia za pomocą biczów tych toczącego się po wertepach rydwanu państwowego, ciągnionego przez zaprząg, złożony z narodów szesnastu, nie licząc w to Węgier i narodów nieposiadających sejmów krajowych. Ze strony trzeciej i czwartej otaczają Szwajcaryę dwa państwa, z których jedno od dawna przyznaje sobie nazwę *grrrande nation*, drugie od lat kilkunastu nazywa siebie *grrrosse Nation*. Brzmiące *r* tu i *r* tam sprawiają wrażenie odgłosu tarabanów, poprzedzających pochód zbrojnych szyków. Od zachodu *la grrrande nation*, od północy *die grrrosse Nation*. Zaszczytne to sąsiedztwo, ale niebezpieczne— niebezpieczne z tego powodu, że czyny, które w dziedzinie stosunków prywatnych uchodzą za występki i zbrodnie (oszustwo, rabunek, rozbój na gładkiej drodze) i surowym podlegają karom, w dziedzinie stosunków międzynarodowych noszą miano racyj stanu, zasługujących, w razie powodzenia, na uwielbienie spółczesnych i potomnych. Dla szwajcarów przeto te zaszczyty mają znaczenie owych zamków, w których zamieszkiwali w balladach sławieni rycerze i rozbijali w okolicy. Wiedzą oni (o szwajcarach mówimy), że mąż stanu niemiecki, któryby chętnie, w imię zasady narodowości, dokonał wcielenia do cesarstwa kantonów niemieckich a z nimi, dla zaokrąglenia posiadłości i zabezpieczenia granic, niemniej jak dla szerzenia kultury, francuskich i włoskich, że ów mąż stanu, gdyby tego dokazał, uznany za wielkość pierwszorzędną, uzyskałby poklask spółczesników swoich i wdzięczną pamięć w wiekach późniejszych. Toż samo spotkałoby męża stanu, działającego w imieniu sąsiadki zachodniej, gdyby, dla tychże samych racyj, Szwajcaryę Francyi zapewnił. Podobna racya przejawiać się zaczyna i ze strony pięknej Italii, która uważa za rodzaj pogwałcenia natury wydzielenie się Tessynu i gryzonów ze zjednoczenia włoskiego. Dodać jednak należy, że pretensye włoskie o wiele są skromniejsze od niemieckich i francuskich, ograniczając się do jednego tylko kantonu całego i drugiego niecałego. Ze strony Austryi nie przejawiają się pretensye żadne. Na wschodniej granicy szwajcarskiej panuje bezinteresowność, którą zaznaczając szwajcarowie powiekami mrugają, jakby dawać do zrozumienia chcieli: „Znamy się na niej.“ Fakt jednak istnieje pewny i niezaprzeczony. Od ujścia Renu do jeziora Boden, aż do punktu zetknięcia się trzech granic, szwajcarskiej, włoskiej i austryackiej, synom Helwecyi najmniejsze w chwili obecnej nie zagraża niebezpieczeństwo i wychowanek domu sierot, co im prezyduje (p. Numa Droz, prezydent rzeczypospolitej szwajcarskiej, wychowanie początkowe odebrał w zakładzie sierot), w mowie pamiętnej *) niebezpieczeństwa z tej strony nie zaznaczył. Zaznaczał za to niebezpieczeństwa ze stron wszystkich innych, zwracając dostojnych i wielkich sąsiadów uwagę na to, że Szwajcarya poręczonej jej traktatami neutralności gotowa bronić, że ma to postanowienie — że nietylko postanowienie ma, ale posiada środki niepozwolenia na najazd. Sąsiedzi sobie przestrogę tę zanotowali i — francuzi sypać poczęli szańce w Fancilly. Czyn ten zaalarmował szwajcarów i wywołał zaniepokojenie, odbijające się w prasie szwajcarskiej, francuskiej, włoskiej — a zapewne i niemieckiej, czujnej na wszystko, co się obrony granic francuskich tyczy.

Łatwo alarmu tego powód wytłomaczyć.

W r. 1815 kongres wiedeński ukształtował Szwajcaryę, do której, jako kanton, przyłączył rzeczpospolitą genewską i poręczył neutralność związku helweckiego. Neutralność owa wydawała się mężom stanu, co w Wiedniu Europę urządzali, na wszystkich punktach ubezpieczoną dostatecznie, z wyjątkiem Genewy, wsuniętej nakształt klina pomiędzy państwa sąsiednie, Francyę z jedej i Piemont z drugiej strony. Dodano jej obwód, którego ona, będąc rzecząpospolitą niepodległą, nie posiadała. Ponieważ jednak to jej nie zabezpieczało należycie na wypadek wojny pomiędzy Francyą a Piemontem, więc neutralność jej otoczono pasem zneutralizowanym (*zône neutre*), wytyczonym ze strony tak francuskiej jak piemonckiej z powodu, że na granicy tej położenie jest takie, iżby armie nieprzyjacielskie mogły, nie wchodząc na grunt genewski, strzelać do siebie, mając grunt ów pomiędzy sobą. Celem zapobieżenia wypadkowi temu, w traktacie zastrzeżono nie obracanie pozostającego w posiadaniu Piemontu pasu na cele wojenne. Do tegoż samego zobowiązała się Francya. Terytoryum piemonckie, opasujące Genewę, było dla wojsk jej nieprzystępne. W r. atoli 1859 stosunki terytoryalne zmieniły się. Sabaudya, a z nią i pas zneutralizowany, dostała się w posiadanie Francyi i pojawiła się

*) Wygłoszonej w czasie popisów strzeleckich w Genewie.

DWA WIDMA.

Wybiciem późnej godziny zegar przeciął naszą rozmowę, którą prowadziliśmy tak gorączkowo, że chwilami w wyobraźni mojej ucieleśniały ją przeróżne widziadła. Wyszedłem rozmarzony.

Noc była jasna, po niebie jak po spokojnem morzu pływały białe, pierzaste chmurki, niby ławice piany, niby stada ptaków, niby statki z rozwiniętymi żaglami, dążące w kierunku latarni księżycowej, która, obracając swą świetlistą głowę, znaczyła im drogę i odwodziła od zbłąkania. Mijałem ogród: lekkie podmuchy wiatru roznosiły orzeźwiający chłód kwiatom, które ugasiwszy pragnienie i obmywszy swe listki z dziennego kurzu w kroplach rosy, oddychały rozkosznemi woniami. Miasto już spało, a odległe turkoty rozlegały się między murami jak senne chrapania. Choć ulice były puste, zdawało mi się, że mnie otacza rzesza duchów, upiorów smutnych i wesołych, które podrzewiają się, czy też złorzeczą sobie niepochwytnymi dla echa szeptami. Zwolna wyobraźnia moja zaczęła nadawać tym postaciom powietrznym kształty cielesne a gdy inne mignawszy pierzchały, dwie ujrzałem wyraźnie, idące przede mną. Jedna z nich w czarnej powłoczystej szacie, z pod której wymykały się stopy w sandały obute i ręce białe, sinemi, jak po ucisku klamer, pręgami obwiedzione, szła spokojnie i niosła głowę dumnie. Na jej pięknem, bladem obliczu nie barwił się nawet tak znikomy rumieniec, jak w blasku jutrzenki; natomiast oczy płonęły mocnym ogniem a spieczone wargi drgały boleśnie. Włosy, rozpuszczone w dużych zwojach, obiegłszy falisto twarz, spadały na ramiona i piersi, z których dobywały się częste westchnienia. Czasami ruchy jej niepewne i chwiejne zdradzały osłabienie, ale znowu opanowywała swą niemoc i rzucała spojrzenia pełne nieugiętej siły. Wtedy pod jej chmurnem czołem strzelały ze źrenic błyskawice wewnętrznej burzy a z warg zlatywały gromy.

Obok niej sunęła się, kulejąc, druga niewiasta w szarych łachmanach, przez które dziurami przeglądało sinawe ciało. Rzadki, zrudziały włos splątanymi kosmykami wykradał się z brudnego, przekrzywionego na bok czepca i rozłaził się po twarzy nabrzmiałej, trądem gęsto obsianej, w której przygasłe oczy świeciły krążkami próchna. Do oślinionych ust przywarł bezmyślny uśmiech, przybierający często znamię dzikości.

— Dobrego jutra. A skąd to, siostro? — zagadnęła pierwszą niewiastę ochrypłym, bezdźwięcznym głosem.

— Z cmentarza — odrzekła zapytana.

— Na mogiłach jagody nie rosną, warzyw ludzie nie sadzą, nic ma tam czego jeść...

— Całowałam groby męczenników życia, składałam na nich przysięgi i odbierałam przeznaczenia.

— Zostaw nieboszczyków w spokoju, niech jedzą ziemię, której mają poddostatkiem, a dbaj o żywych, którzy giną z głodu.

— Umarli nie ulatują w wieczność, jak stado bocianów, po których nawet szum skrzydeł milknie, lecz roztapiają się w powietrzu, którym żywi oddychają. Każdy człowiek pozostaje do zgonu dzieckiem łonie przeszłości, ssącem mleko z jej piersi.

— Ja nie mam przeszłości. Mój ojciec nie wiedział, że mnie spłodził, matka, urodziwszy, nie obejrzała i cisnęła do cudzej sieni, skąd mnie stróż wymiótł do przytułku. Urosłszy, daremnie szukałam rodziców między parami w rowach i krzakach, tak jak niejedno z moich dzieci nie rozpoznaje we mnie matki. Ha, ha, ha — gramy w ślepą babkę. Dopóki mężczyzni nie nauczyli mnie prawdy, myślałam, że nas biednych Bóg z błota lepi i na ziemię spuszcza z gradem.

— Nieszczęśliwi...

— Jak kiedy... Za grosz teraz szczęścia nie sprzedają, bo zdrożało, ale za pięć dostać można. Aby tylko więc grosze były, wesela nie zbraknie. Dziś się dzionek pochmurzył. Od rana w brzuchu tak mi głód zębami zgrzytał, że chciałam odrapać i zjeść grzyby, co z wilgoci na ścianach izby wyro-

kwestya: czy Francya obowiązaną jest szanować neutralność pasa, gdy ten przestał być piemonckim? W traktacie 1815 zapisany on jest, jako piemoncki. Wedle traktatu z r. 1859 pas ów stał się francuskim. Cóż tedy?..

Z zapytaniem tem rząd federalny zwracał się kilkakrotnie do cesarstwa francuskiego, zwracał się następnie do rzeczypospolitej; lecz ani od cesarstwa, ani od rzeczypospolitej nie otrzymał odpowiedzi innej, jak wymijającą — czemu się dziwić nie należy, Francya bowiem zobowiązywać się nie może, dopóki nie zobowiążą się Włochy, które ze swojej strony na uprzednie zobowiązanie się Francyi czekają. Do rozstrzygnięcia kwestyi tej potrzebaby umowy formalnej, przeprowadzonej na żądanie Szwajcaryi przez kogoś trzeciego na drodze dyplomatycznej, wymagającej uprzedniej stron zgody. Któż trzeci nadawał się na to? Kogoż „trzeciego“ obchodzi pas jakiś neutralny, którego zajęcie przez wojska włoskie albo francuskie może Genewę wystawić na nienadwerężające neutralności związku szwajcarskiego bombardowanie?

Kwestya ta przeto pozostawała w zawieszeniu. Francuzi lat temu parę zarządzili ćwiczenia wojskowe w pasie zneutralizowanym, lecz na reklamacye rządu szwajcarskiego wojska cofnęli i wydawało się, że faktycznie mają zamiar zastrzeżenie traktatowe szanować. Gwałcenie traktatu, złamanego przez przyłączenie do Francyi Sabaudyi, nie okazywało się do chwili wciągnięcia Włoch do sojuszu niemiecko-austryackiego na miejsce wyzwolonej od sojuszu tego Rosyi. Czy dobrze na tem wyjdą Włochy, pomijamy to, ale pominąć nie można zaniepokojenia, jakie zawładnąć musiało Francyą, gdy w perspektywie, w razie wyczekiwanej z dnia na dzień wojny z Niemcami, ujrzała możliwość wojny z Włochami. Perspektywa ta pozatykać jej nakazała wszystkie wyloty alpejskie. Pozostawał ten, co przez grunt zneutralizowany przechodzi. Miałaż go zaniechać? Mogłaż się spuścić na przestrzeganie umów międzynarodowych przez partnerów politycznych, dla których umowy są tem samem, czem jest legendowa pajęcza sieć prawa dla przyrównywanych do bąków bogaczów. Nie upoważnia wprawdzie do gwałcenia prawa przypuszczenie, że je ktoś zgwałcić może, ale staje tu *suprema lex*: *salus imperiae*, wobec którego zachodzi dla francuzów ta okoliczność łagodząca, że oni w przewidywaniu niebezpieczeństwa czekać nie mogli, aż im ono na kark spadnie i wytłomaczonem zostanie, jako naturalny przyczyn historycznych wynik. Czy można się na czekanie wyniku takiego zgodzić w tem przeświadczeniu, że gdyby niemcom potrzebne było zgwałcenie neutralności szwajcarskiej, zgwałcą ją i do zgwałcenia Włochy pociągną? Z przeświadczeniem tem łączy się widok operacyi wojennej ze zgwałcenia wynikającej. Niemcom zajęcie Szwajcaryi północno-zachodniej, tj. kantonów Aargan, Bazylea, Solura i Bern, nie na wiele by się przydało. Francuzi się na wypadek ten przygotowali i osłonili, jako też na ten, gdyby ich włosi rdzennie atakowali. I niemcy i włosi mieliby kłopotu wiele z przełamaniem linij obronnych francuskich, nawet w razie, gdyby armia niemiecka przez wyżej wymienione kantony przeszła. Dla niej przeto, gdy się na zgwałcenie neutralności zdecyduje, wszystko będzie jedno, zgwałcić ją częściowo, czy całkowicie — i z pewnością zdecyduje się na to ostatnie ze względu właśnie na Genewę, dającą możność wojskom wkraczającym: obejścia łańcucha jurajskiego i pozycyj obronnych francuskich, przeniesienia wojny na grunt nieprzyjacielski i zapewnienia sobie odwrotu bezpiecznego. Operacya ta może się w taki dokonać sposób, że niemcy przytrzymają milicye szwajcarskie na północy a włosi przejściem simplońskiem i koleją żelazną św. Gotharda wtargną, w Genewie się skoncentrują, Sabaudyę zajmą i będą mieli drogi otwarte do Marsylii, do Lyonu, do Dijonu. Taki obrót rzeczy tyle jest do prawdy podobny, że szwajcarowie, którzy do niedawna o wzmacnianiu gór swoich mówili od niechcenia, rzucili się obecnie do sypania wałów obronnych u wnijścia na kolej świętogothardzką. Czyby im wały te wielką przyniosły pomoc, to zależy; rzecz w tem, że się sypią — że zatem *est periculum in mora* — w chmurach drzemią pioruny i potrzeba stawiać konduktory. Taż sama potrzeba naciska francuzów do obwarowywania, położonego w pasie zneutralizowanym Fancilly. Opierając się na warowni tej, która niby na drożdżach na zakazanej ziemi rośnie, wojska francuskie nietylko zapanują militarnie nad całą rzeczpospolitą genewską, ale będą mogły, gdy im tak wypadnie, bomby, granaty i pociski pełne do metropolii nadlemańskiej rzucać, coby tej ostatniej sprawiło nieprzyjemność ogromną. Powstała więc, z racyi tej, w dziennikarstwie szwajcarskiem wrzawa niemała, w której się dwa spostrzegać dają momenty: publicystyka upominała się zrazu o szanowanie traktatu; obecnie rozbiera przydatność warowni i zarzuca francuzom, że posłużyć im ona może za punkt wychodni do zamachu na niepodległość szwajcarską.

Dyskusya na tem polu ma przed sobą nieskończoność, zwłaszcza że biorą w niej udział i tacy dzierżyciele piór, co niekoniecznie jasne o rzeczy wojennej mają pojęcie. Prawa jednak zabierania głosu zaprzeczyć im nie można. Owóż, zdaniem ich, Francyę ochrania dostatecznie neutralność Szwajcaryi, a na zapytanie: „Cóż ochrania neutralność? — waleczność nasza...“ — odpowiadają. Waleczność, o której wątpić się nie godzi, starczyłaby przeciwko samym niemcom, albo przeciwko samym włochom. Ale — „wiele złego, dwóch na jednego.“ Sto kilkadziesiąt tysięcy wojska, jakieby Szwajcarya pod broń powołać mogła, nie potrafiłyby stawić czoła na dwie strony przeciwne. To trochę za trudno. Pozostawałby jeden tylko środek: wpuszczenie wojsk niemiecko-włoskich na mocy układu wydającego kraj na teatr operacyj wojennych, a warującego niepodległość narodu. Do układu takiego prowadziłaby roztropność, nakazująca godzenie się z losem, skądby wynikł może dla Szwajcaryi rezultat niekoniecznie niepomyślny, ale dla Francyi byłby on pomyślny. Rozumieją to ci, co o rzeczy wojennej wyobrażenie dokładne mają. Ci nie roszczą do Francyi pretensyj i nie podejmują się bronić jej, a zwracają się do niej z przedstawieniami i perswazyami sąsiedzkiemi, streszczającemi się w zapytaniu: „Ty, sąsiadko kochana, przeciwko nam nic złego nie knujesz — nieprawdaż?“ „Wcale nie“ — odpowiada Francya. I w rzeczy samej ta ostatnia wobec gotującej się wojny nie ma, w zajęciu Genewy, takiego, jak przypuszczalni przeciwnicy jej sprzymierzeni, interesu. Interes jej zwraca się raczej ku Delle i ku Pontaxlier, punktom granicznym, z których by obejść można rzutem jednym linię obronną niemiecką i wkroczyć do Niemiec. Z Genewy za daleko. Zajęcie jej opłaciłoby się francuzom we względzie handlowym, przemysłowym

---

sły. Nawet pies ogryzionej kości nie zgubił, nikt na ulicy jabłka nie obrał i łupin nie rzucił, woda w rzece mułem nie zgęstniała; więc poszłam pod szyuk, usiadłam na progu i wciągałam wyziewy wódki, aż mnie sen zmorzył. Karczmarz nogą kopnął i przebudził, za co mu podziękowałam, bo byliby mnie sprzątnęli i do jamy wrzucili. A wolność to przysmak.

— I ty ją kochasz? Odgadłam to zaraz.

Tak, wspaniała orlica opuściła szczyty i sfrunęła na niziny, gdzie ściele sobie gniazdo. Tu jej pisklęta otuli mech miękki, osłonią powoje i trawy, wykarmią muszki, napoi zdrój czysty. Na wyżynach wichry, które tylko rozdzierają się o niewzruszone skały, nie pozwolą żyć dumnym ptakom. Ludzie, wskakując jedni drugim na ramiona, wspinają się ku górze, niepomni, że bezlitosnym ciężarem rozgniatają podtrzymujących tę potworną drabinę. Ale spód jej wtrząsa się i wali ją—a ja i ty należymy do spodu. Wołajmy tedy obie: kto w naturze rozkazał, ażeby człowiek miał prawo być niszczącą brodawką lub kleszczem wpitym w ciało innego człowieka, wdziewać cudze dobro jak kaftan ciepły, wzuwać jak obuwie, wysysać jak sok owocu? Kto ustanowił, ażeby serce uderzało według przepisanego rytmu a mózg obracał się za stałą igłą magnesową? Pytam o to od początku świata, bo tak długo żyję; tysiąc razy zabita, zmartwychwstaję, zdjęta z tortur do zdrowia wracam, bo język mój jest mową nieśmiertelności.

— Wyznam ci, że niewiele z tej twojej mowy nieśmiertelności rozumiem. Ale domyślam się: nie chcesz, ażeby nas sadzano do kozy za to, że po nocy się włóczymy. I to jest bardzo słuszne, bo komu to szkodzi, że sobie podpiję, pohulam, zaśpiewam i z wesela grzmotnę w łeb dobrego chłopca, który mi zaraz odda? Kiedy głód i chłód dokuczą, koza niestraszna a nawet przyjemna; w taką wszakże ciepłą noc, jak dzisiejsza, daleko wygodniej ledz na murawie i patrząc w niebo, łykać gwiazdy, niby cukierki. One nie nasycą — wiem, to też wprzódy należy zjeść kawałek chleba, a jeśli nie ma swego — wyciągnąć z kieszeni cudzy, jak ja w tej chwili tobie.

— Weź, noszę go dla biednych.

— Poczciwa... Inni tak nie robią, choć wszystkiego pożreć nie mogą. Ale wynaleziono sposób wyrównywania nadmiarów. Śliczny sposób! Skoro noc utuli i uśpi ziemię, my rozpoczynamy nowy podział dóbr świata: ten ich za dużo dźwiga — trzeba mu ulżyć, ten nasypał sobie z czubem — trzeba mu go zgarnąć, inny trapi się, gdzie przewyżkę schować — trzeba go od troski uwolnić. Nazajutrz wszyscy oni wstają zmartwieni, ale wkrótce pocieszają się, a wóz, na którym spoczywa ziemia, po równiejszem rozłożeniu na nim ciężarów toczy się bezpiecznie i nie grozi wywróceniem. Złodziejów tylko brzydko nazwano: są oni dozorcami rzetelności miar i wag, pilnując, ażeby jedni nie dostawali za wiele a inni za mało, służbą, przywracającą w nocy porządek domu, który państwo w dzień doprowadzili do bezładu. Czy nie prawda — siostro?

— Z ciebie odzywa się szydercza boleść, a nie trujące zepsucie. Najeżyłaś kolce i zwinęłaś się jak jeż, bo nauczyłaś bronić się od morderczej ręki. Ale w głębi czujesz serce, z którego sączą się łzy czyste. Chcesz powiedzieć, że ludzie nie powinni mieć paszcz olbrzymów przy ciałach karłów i więcej pochłaniać, niż strawić mogą; że ze stołów ucztowych zbytku więcej spada i marnieje okruszyn, niż potrzeba dla nakarmienia ubóstwa; że samolubstwu należy wyłamać kły, którymi rozszarpuje niemoc; że ziemia może wyżywić wszystkie dzieci, które rodzi, że...

— Nie, siostro kochana, przemawiasz do mnie z wysokiej ambony i dlatego cię nie pojmuję. Ot, lepiej, zamiast tej gadaniny, od której mi już czczo, pójdźmy w groch. Patrzysz na mnie zdumiona? Ha, ha, ha. Kieszenie ludzkie są jak łan grochu: niektóre puste i robaczywe, inne pełne. Do tych biedak się zakrada i wyłuskuje z nich smaczne ziarna.

— Nie odstraszaj mnie maską udanej potworności, bo pod nią dostrzegam uczciwy wzrok nędzy. A jeśli się mylę, odejdź wstrętna wiedźmo zbrodni.

(D. n.).

wym, intelektualnym, politycznym, ale nie w militarnym, w tym wypadku specyalnym. W wypadku tym pozostawią oni Genewę w spokoju, jak długo nie pokażą się w niej pikelhauby pruskie i kogucie pióra bersaglierów włoskich. Wówczas to Fancille, które się genewczykom przedstawia pod postacią krajobrazu powabnego, stanie się dla nich kraterem ogniem ziejącym. Spodziewać się potrzeba, że do tego nie przyjdzie; spodziewanie się zaś samo jest znakiem czasu. Dotychczas szwajcarowie żyli w tem przeświadczeniu, że ich wszystkie burze wojenne ominą. Aliści i nad nimi niebo się zachmurzyło. Chmury na niebie ich sprowadził sojusz potrójny. Po przystąpieniu do sojuszu tego Włoch, znaleźli się nagle pod ciśnieniem trzech, ostrzących na siebie zęby sąsiadów, z których jeden jest *la grrrande nation*, drugi *die grrrosse Nation*, trzeci zaś ma pretensye skromne, niemniej jednak wielkość na widoku mające. Kiedyż na miejscu wielkości stanie w stosunkach międzynarodowych sumienność?

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wędrówka p. Gautscha po Galicyi, kwiaty i słodycze, które austryacki minister ociemnienia sypał szczodrą dłonią „najwierniejszym poddanym,“ nie pozostawiły wątpliwości, że z tej strony czesi nie otrzymają posiłków do ataku w sprawie zmniejszenia liczby szkół średnich. Ale, jak wiadomo, nie ustępują oni łatwo. Rieger więc wniósł interpelacyę w tym przedmiocie do Rady państwa, a chociaż odpowiedziano, że „rząd ani na włos nie ustąpi,“ toczą się obecnie za kulisami układy o kilka włosów. Formalnie ma być utrzymany rozkaz ministra, faktyczne jednak ulgi czechów nie ominą. Według nas prawica popełnia błąd zasadniczy, broniąc p. Gautscha, który jej nie przynosi zaszczytu, a państwu korzyści. Należało go z siodła wysadzić i zapobiedz dalszym harcom, których ten ambitny rycerz nie zaprzestanie i wywoła niejedną jeszcze awanturę. Legendowa obawa podważania gabinetu hr. Taaffego z którejkolwiek strony, ażeby cały nie upadł, stała się jakąś trwogą dziecinną. Jesteśmy pewni, że galicyanie mogliby śmiało dopomódz do oczyszczenia ministeryum z żywiołów w gatunku Gautscha i wcale przez to nie zrobiliby wyłomu dla centralistów.

Prezes Koła polskiego, wiecznie drżąca osina tego klubu parlamentarnego, wyjeżdża dla poratowania zdrowia do Mentony—czego żałować nie potrzeba; ale niebezpieczna choroba Hausnera budzi poważny niepokój. Strata tego człowieka byłaby na dziś niepowetowaną.

Caffarel, Limousin, Wilson, Boulanger—oto główni bohaterowie szopki, którą się bawi w skandalu zamiłowana, histeryczna prasa francuska. Sprawę brudną, w istocie swojej małoważną szybkim ruchem naciągnięto na warsztaty polityczne. Nieśmiertelny Boulanger znowu paraduje na czele radykalistów. Oświadczył on reporterom, że skandal wyciągnięto jedynie dla zdyskredytowania go. Minister wojny, dowiedziawszy się, skazał uwieńczonego przed zwycięztwami generała na 30 dni aresztu domowego. Naturalnie powstał wrzask w dziennikach radykalnych, zapominających zupełnie, że Boulanger, będąc ministrem, dał dymisyę pewnemu dowódcy za bardzo skromny protest i oświadczył w Izbie, że „dopóki on rządzi armią, wszyscy w niej powinni tylko słuchać.“

Polityczną barwę do skandalu domieszało również nazwisko Wilsona, zięcia Grevego. Gazety radykalne walą na niego góry oskarżeń o przeróżne paskudztwa i wyzyskiwanie swego stosunku do teścia dla celów osobistych. Wilson nie należy do ideałów obywatelskich, ale nie należą do nich również jego oskarżyciele, którzy zbyt śmiało posługują się kłamstwem i potwarzą, a uderzając pośrednio na Grevégo, (któremu każą wybierać między zięciem a prezydenturą), dogadzają ślepej i bezmyślnej nienawiści. Co ci panowie chcą zrobić z Francyi i jej rządu — doprawdy trudno zgadnąć.

Zaiste, owi czciciele Boulangera, a przez niego zwolennicy przymierza z Rosyą, powinniby odczytać w drugiem wydaniu broszurę ks. Golicyna i zrozumieć, że jeżeli dziś, kiedy na czele Francyi stoi Grevy, pewne żywioły nie chcą się z nią wiązać, cóż dopiero gdyby runął ten jedynie trwały słup rządu tak zmiennego, jak fale na wzburzonem morzu!

Od tak dawna przywykliśmy do niespodzianek z Bułgaryi, że aż dziwno było przez cały tydzień nie usłyszeć tylko o waśni między Stambułowem a Radosławowem, o liczeniu poległych i zranionych w walce wyborczej cankowistów z koburczykami itp. drobiazgach, niegodnych klasycznego kraju efektów politycznych. Nawet podobno dyplomacya pracuje leniwiej nad „rozgraniczeniem sfer interesów“ na półwyspie Bałkańskim.

Prasa rosyjska w przerwach między odgadywaniem celu bytności Crispiego u Bismarka a sprawą bułgarską monologuje dalej nad słowianizmem. W mgle tej ukazał się świeżo punkt realny, wabik *Kreuz-Ztng*, o którym na innem miejscu piszemy. *Russk. Kurier*, dowodząc założenia, że niemiec nigdy nie może być przyjacielem słowianina, powiada: „Prusy, wyganiając polaków z Poznańskiego i usuwając język polski ze szkoły, nie robią sobie z tem żadnej ceremonii, chociaż te same Prusy wraz z Austryą wysyłały swych emigrantów dla podbudzania Polski przeciw Rosyi, chociaż te same Prusy doradzały rządowi austryackiemu zupełnie inną politykę w stosunku do polaków. One to przecież zalecały łagodzić polaków i utrzymywać w nich nadzieję lepszej przyszłości, a jednocześnie wraz z Austryą dawały Rosyi przyjacielską radę, aby trzymała u siebie polaków w karbach. O to starał się Metternich przy Cesarzu Aleksandrze I, w tym też duchu działał Bismark, doradzając zawsze dla polaków „żelazne rękawice.“ Austrya zrozumiała hasło z Berlina i oddała Galicyę na żer polskich magnatów, podtrzymując ucisk rusinów powagą władzy rządowej. Stara partya polska została oszukaną i tryumfowała; dopiero młode pokolenie, mniej marzycielskie, a więcej trzeźwe, zrozumiało całą „zjadliwość“ tej filantropii niemieckiej; zrozumiało ono, że i polaka niemiec pragnie „wykorzenić,“ że wszelkie obietnice niemieckie stanowią tylko jeden z momentów „polityki krwi i żelaza.“

Choroba niemieckiego następcy tronu z dnia na dzień w doniesieniach zmienia swą postać. To staje się groźną, to ulecza. Większość jednak gazet zapewnia, że i w tym wypadku ks. Bismark będzie „szczęśliwym“ (następca tronu nie godzi się z polityką kanclerską a jego syn jest jej bezwzględnym wyznawcą).

Anglię pokrywają obecnie meetingi: gladstonistów, irlandczyków i zbuntowanych robotników. Salisbury jak salamandra wije się w ogniu — dotąd niespalony.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KONGRES HYGIENICZNY.

Liczne grono znakomitych uczonych i techników w Wiedniu obradowało nad zagadnieniami, których ważność mierzyć się może tylko z okazywanem im lekceważeniem. Rozprawiano o warunkach zdrowia ludzkiego. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły tego naukowego sejmu, często zbyt specyalne, zapoznamy tylko czytelników z jedną, może najważniejszą grupą uchwał, dotyczących robotników.

Praca fabryczna nietylko zmieniła do gruntu sposoby produkcyi, ale także warunki życia i zdrowia robotniczego, wytworzywszy długi szereg niebezpieczeństw i wysiłków, które wymagają ochrony prawnej. Otóż kongres zbadał sumiennie tę sprawę i postawił gruntownie obmyślane i sprawiedliwe wnioski w dwu kierunkach: co do wieku i zajęć nocnych. Żąda on, ażeby ludzie, niemający jeszcze lat 14, byli całkiem wyłącznie od pracy fabrycznej, niemający zaś 18 — od nocnej i zbyt uciążliwej. Zwykle bowiem rozwój fizyczny takich robotników ulega zatamowaniu, występują niedomagania i kalectwa. Kobiety po urodzeniu dzieci winny być wolne od zajęć przez kilka tygodni, podczas słabości połogowej — zaopatrzone w środki utrzymania, wogóle zaś nawet zdrowe — nieprzeładowane pracą, zwłaszcza nocną. Dla wszystkich zaś robotników kongres domaga się dnia normalnego, co najwyżej 10 do 11 godzin dziennie.

Są to tylko wnioski główne, z którymi połączono wiele uchwał szczegółowych. Życzenia tego rodzaju mają zwykle wartość akademicką, czysto teoretyczną, gdyż wyrażane są przez ludzi prywatnych, których całą mocą jest wiedza i którzy nie posiadają żadnej siły prawnej. Mimo to niepodobna twierdzić, ażeby one nie wpływały na ustawodawstwo i nie wywołały chociaż spóźnionych skutków. Prawodawcy pragną we wszystkich sprawach zachować swą samodzielność, ale powoli ulegają radom nauki. Dotąd ani jedno państwo w Europie nie posiada jeszcze należytych ustaw fabrycznych, ale zaprzeczyć trudno, że niemal wszystkie postępują ku lepszemu. Ważnym zaś bodźcem dla takiego postępu będą niewątpliwie uchwały ostatniego kongresu hygienicznego, tembardziej, że tkwiące w nich idee weszły jako godła programów demokracyi europejskiej. Gdy głos nauki połączy się z głosami stronnictw politycznych i społecznych, prędzej czy później znajdzie posłuch w sferach, regulujących życie zbiorowe. Prąd ten może najsilniej dobył się w Niemczech, ale dotychczas obraca on koło młyna polityki Bismarkowskiej, które każdą ideę mąci samowolą i nieczystościami kaprysów wszechwładnego ministra. Ponieważ zaś ten minister nietylko przykrawa wszystko do swych potrzeb i zachceń, ale przykładem wprowadza na złą drogę innych, więc nie dziwnego, że nawet w krajach tak oświeconych, jak Anglia i Francya, nie spełniono marzeń kongresu.

LISTY KRAKOWSKIE.

19 października.

Po wystawie.— Walka na noże. — Czesi i prof. Smolka. — Z uniwersytetu. — Akademia dla Wielkopolski. — Pomnik Mickiewicza. — *Sztuka.* — Nowe pismo. — *Dziwak.*

Nareszcie skończyły się uroczystości wystawowe. Dnia 12 b. m. odbył się ostatni akt zamknięcia i od tej chwili Kraków zapadać zaczyna w zwykłą senność i ciszę. Kupcy i przemysłowcy obliczają zyski odniesione z wystawy, komitet rozmyśla nad wynalezieniem źródeł pokrycia 30 tysiącznego niedoboru a krakowianin, patrząc na wyludnione miasto, zastanawia się nad znikomością rzeczy ludzkich. Egzamin z kilkuletnich postępów kraju skończony i, bez uprzedzenia sądząc, przyznać należy, że wypadł nadspodziewanie pomyślnie, a choć pozytywnie nie zadowolił może wy-

brednych wymagań optymistów, to jednak moralne korzyści przyniósł znaczne i bezsprzecznie zaświadczył, że kraj w ostatnich latach postąpił naprzód i wzrósł w siły fizyczne i duchowe. Wśród ciszy, która bezpośrednio tu po wystawie zapanowała, należało koniecznie wynaleźć sposób rozruszania umysłów bodaj jakąś miejscową drażniącą sprawą, aby obudzić ogół z uśpienia. Zadanie to podjął *Czas*. Poczciwy i systematyczny starowina wlókł sobie spokojny żywot na łaskawym chlebie, gdy w tem ze szpalt nienawistnej, politycznej przeciwniczki spadł grom, który wstrząsnął stronnictwem umiarkowania w posadach. *Nowa reforma* poważyła się uderzyć na hr. Tarnowskiego za kalumnię, rzuconą w artykule o Kalince na pewną część emigracyi naszej. Oburzenie na hrabiego ozwało się ze wszech stron. *Czasowi* jednak, niebadającemu sprawy, ani pobudek, wystarczył sam fakt. Tego rodzaju zasłużonych osobistości nie tyka się w Krakowie bezkarnie. W piorunującym artykule usiłował *Czas* dowieść *N. reformie*, że całe stronnictwo koło niej ugrupowane składa się z moralnych bankrutów, żywiołów rozkładowych, uprawiających opozycyę dla zasady, których działalność szkodliwszą jest dla kraju od socyalizmu, nihilizmu i innych *izmów*. *N. reforma* w odpowiedzi wystąpiła z całym szeregiem artykułów zasadniczych, pisanych wytrawnie i ze spokojem, w których punkt za punktem zbiła wszystkie zarzuty, podniesione przez organ konserwatywny. Artykuły te zawarły cały obraz polityki stronnictwa postępowego, wykazały jego cele i dążności, ujęły w swych ramach cały niemal jego program. Huczek stąd powstał niemały. *Czas* kilka razy, ale już nierównie grzeczniejszym tonem zabrał głos w obronie swych wywodów, ale wreszcie umilkł pod wpływem dwukrotnej repliki przeciwniczki, która na faktach opartą argumentacyą wykazała jasno, że o ile bezpodstawnemi były zarzuty ku niej skierowane, o tyle zgubną i w skutkach szkodliwą jest cała działalność partyi stańczykowskiej. Mówią o nastąpić mającem wkrótce ustąpieniu prof. Smolki ze stanowiska naczelnego redaktora *Czasu*. Aczkolwiek było ono więcej synekurą, to jednak wobec bezpożytecznej na tem polu pracy, do której nie okazywał wymaganych zdolności, p. Smolka uznał widocznie sam za stosowne usunąć się, tłumacząc odwrót nawałem zajęć profesorskich. I *Czas* i uniwersytet zyskają niewątpliwie na tej zamianie. Akademia i wszechnica, to dwie twierdze, w których silnie obwarowali się stańczycy, wązką furtkę wpuszczając tych tylko, którzy przeszli przez próbę ogniową doktryn stronnictwa. Młodzi docenci muszą koniecznie czas pewien debiutować w *Czasie*, jak tego najświeższym dowodem pp. Kallenbach i Milewski.

W tych dniach odbyło się uroczyste otwarcie roku akademickiego a akt ten miał okazać światu, że uniwersytet wiernie stoi i stać będzie na straży wierzeń religijnych. Ustępujący rektor St. hr. Tarnowski zdał berło następcy księdzu Spisowi, który po wynurzeniu obowiązkowej adoracyi dla wiekopomnych rządów poprzednika, zbudował na zakończenie słuchaczów odczytem „O genealogii Chrystusa.“ Na miejsce prof. Mikulicza przybył w tych dniach dr. Rydygier z Chełmna a pierwszy jego wykład przyjęty został nader przychylnie przez tłumy zgromadzonej młodzieży. Rydygier należy do nielicznego grona krakowskich profesorów medycyny, które zdala trzymając się od propagandy stańczykowskiej, niejednokrotnie już przekonania swe dobitnie zaznaczyło. Uniwersytet zyskał w nim poważną siłę naukową a młodzież światłego i rozumnego przewodnika.

Jednym z poważniejszych objawów śród ostatnich wypadków jest działalność ratunkowa dla Wielkopolski. Krakowski zjazd przedstawicieli zachodnich powiatów i miast kraju, zaproszony przez komitet centralny na dzień 8 b. m. przyjął w dosłownem brzmieniu te same uchwały, jakie zapadły na zjeździe lwowskim, z tym jedynie dodatkiem, że lista zapisów ma być publicznie ogłoszoną. Do komitetu dla Krakowa i okolicy wybrani zostali: Artur Potocki i Konrad Wentzel. Na tym jednym punkcie oba krakowskie stronnictwa zgodnie rozwinęły działalność i zrobiły, co do nich należało. Istotnie, gdyby tu nie wchodził w grę obowiązek uczciwości dla doniosłej sprawy narodowej, należałoby nawet pochwalić tę rzadką zgodność stronnictw, w każdym innym wypadku gotowych do zaciekłej walki opozycyjnej.

Jaskrawą, ale i nader smutną widownią walki tego rodzaju jest sprawa pomnika Mickiewicza. Gdyby kto z jej przebiegu chciał brać miarę naszej mocy i energii w urzeczywistnianiu woli ogółu, do przygnębiających doszedłby rezultatów. Gorące usiłowania młodzieży, ofiarność publiczna rozbija się nieustannie o ślamazarność, niedołęztwo, a co najsmutniejsza, o lekceważenie obowiązków ze strony najliczniejszych i najwpływowszych w komitecie krakowskich członków. Na ostatniem posiedzeniu komitetu przyjęto uchwałę, że następne odbyć się ma we wrześniu podczas trwania wystawy, a to ze względu na możliwość przybycia kilku warszawskich członków komitetu. Tymczasem minął wrzesień, skończyła się wystawa a komitetu nie zebrano. W skutek ostrego artykułu *N. reformy* prezydent Szlachtowski zdecydował się wreszcie zwołać posiedzenie na 29 b. m. Roztrząsaną będzie na niem kwestya zasadnicza, od której zależy przyszłość pomnika, mianowicie komu dalsze prowadzenie jego budowy po Zyblikiewiczu powierzyć należy. Prasa galicyjska podnosi myśl, aby komitet zaniechał zamiaru składania po raz drugi całego przedsięwzięcia w ręce jednostki i powierzył ją Radzie miasta Krakowa. Urzeczywistnienie tego projektu w obecnym składzie rady dawałoby istotnie pewną rękojmię, że sprawa wprowadzoną zostanie raz przecież na właściwe tory. Nie trudno jednak przewidzieć, że partya, która postawiła sobie za zadanie utrzymać jak najdłużej dotychczasową niepewność, dołoży wszelkich starań, aby do tego nie przyszło.

W tych dniach ukazał się pierwszy zeszyt czasopisma *Sztuka*. Jako redaktor i wydawca podpisany jest St. Binkiewicz, autor tyle głośnego „Krytycznego przeglądu wystawy sztuki polskiej.“ Pierwszy numer nowego wydawnictwa przedstawia się wcale ubogo. Nierównie większe budzi zajęcie w kołach literackich zapowiedź nowego dwutygodnika ilustrowanego, poświęconego literaturze, sztuce i sprawom społecznym. Wydawać go będzie p. Zygmunt Sarnecki, część zaś artystyczną obejmuje pod swój wyłączny kierunek zaszczytnie znany artysta rysownik p. Piotr Stachiewicz. Zamiarem inicyatorów jest stworzyć wydawnictwo obrazkowe, zupełnie oryginalne i nowe, obmyślane na wzór niemieckich i w zupełnie odrębny sposób zamierzające spełniać zadania artystyczne i literackie, tak iż nie wejdzie ono bynajmniej w drogę dotychczasowym ilustracyom polskim.

Teatr krakowski rozpoczął w dniu 8 b. m. sezon zimowy przedstawieniem oryginalnej komedyi Al. Mańkowskiego *Dziwak*. Utwór ten pełen głębszych myśli i zdrowych tendencyj przyjęty został bardzo przychylnie przez publiczność i krytykę. Rzucone w toku rozmowy przez usta jednej z działających w komedyi osób gorzkie słowa prawdy, „że jesteśmy tak zniedołężniali, iż nie umiemy nawet postawić pomnika dla największego naszego poety“ wywołują za każdym razem manifestacyjne oklaski publiczności. Oby ten *vox populi* przekonał krakowskich polityków, że cierpliwość społeczeństwa ma także swoje granice.

Verax.

SPRAWY EKONOMICZNE.

DLA OPUSZCZONYCH.

Jeżeli ze sfery ogólników tworzących, niestety, probierz oceny stanowiska większej własności, zejdziemy na pole oceny praktycznej, która jedynie może być prawdziwą miarą działań, tej *ci-devant* szlachty, a obecnie inteligencyi wiejskiej, uderzyć nas w niej musi brak elementarnych pojęć o obowiązkach i interesie zawodowym pracodawcy.

Stosunek kapitału do pracy na wszystkich polach zajmuje najpoważniejsze umysły, stanowi tak zwaną „kwestyę palącą,“ wywołuje przepisy ustawodawcze, zmierzające do usunięcia krzywd lub wyzysku strony słabszej, a choć wielkie to zagadnienie wymaga całego szeregu rozwiązań, tyle przynajmniej wiemy, że jedna z najzawilszych spraw społecznych naszej doby porusza się, idzie naprzód i po pewnym czasie, w ten lub ów sposób, zostanie rozstrzygniętą. Rolnictwo tymczasem, używając masami rąk, stosunkowo najmniej posiłkując się maszynami i podstawę pracy czerpiąc w usługach ludzkich, kwestyi robotników wiejskiej nie stawi w programie swych działań. Co więcej, nawet przeciwnicy większej własności, tak skorzy do wykazywania jej wad i ułomności, najmniej, albo raczej zupełnie nie zajmują się tym przedmiotem.

Są ku temu dość ważne powody.

Byt robotnika wiejskiego stosunkowo jest znośny, jeżeli naturalnie oceniać go będziemy ze stanowiska najpierwotniejszych potrzeb człowieka, i dlatego nie daje nam widoku rany niebezpiecznej, nie narzuca obrazów nędzy rozpaczliwej. Skromne nad wyraz wymagania tej klasy ludności, jej cierpliwość i uległość, ciemnota tłumiąca szlachetniejsze potrzeby, tworzą z niej masę potulną, niepodlegającą wrzeniom i porywom, jakie nurtują umysł robotnika miejskiego i grożą społeczeństwu przewrotami. Dopóki stan taki trwać może, dopóki robotnik wiejski nie wyjdzie z roli cierpliwej ofiary losu — przesądzać nie będziemy; natomiast, badając naturę tego biernego pracownika, znajdziemy i w niej iskry szlachetniejszych instynktów, niepokój o przyszłość, pragnienia zabezpieczenia sobie bytu. Nie wyłaniają się one na zewnątrz silnymi objawami niezadowolenia, nie dają gotowego materyału do rozpraw dla przyjaciół ludu, ale powoli, niezacznie spływają w niewielkie strumyki, by z czasem zamienić się w potężną i rwącą rzekę.

Czy mamy czekać na pokrycie się pogodnego dotąd widnokręgu chmurami? Czy z właściwą nam obojętnością godzi się i na tem polu zajmować nadal stanowisko obojętne i wyglądać co „kismet“ przyniesie? Odpowie mi każdy, nie! ale ten protest z ust a może nawet z serca wychodzący pustem brzmieć będzie echem na jałowej niwie czynu.

A jednak działać tu musimy, działać spiesznie i praktycznie. Nie siądę naiwnie na konika „obowiązków obywatelskich“ i nie pojadą ku bramom sumienia i uczuć humanitarnych „większej własności.“ Na tej drodze ów konik szybko by kark skręcił... Wziąwszy za przewodnika *interesy*, pewniej dojadę do celu.

Powiedzmy sobie poufnie, że przekonania, jakie mamy o najważniejszym czynniku pracy rolnej, zamykają się w dwóch słowach: próżniaki i złodzieje! Nie będę ścierał tego haniebnego piętna z ludzi biednych i ciemnych, a ów wyrok przyjmując z dobrodziejstwem inwentarza, zapytam: kto winien? Kto?.. My sami!!

Tysiące piorunów i setki zatrutych strzał uderzą w pierś śmiałka, który odważył się z taką czelnością czernić niepokalane łono większej własności, ale jej cząstki zdrowe

i trzeźwo na rzeczy patrzące przyznają słuszność zarzutowi, nie zawstydzą się otwartej spowiedzi. Z tymi pragniemy pomówić.

Nie przeczę, że moralny poziom robotnika — a mam tu na myśli fornalów, parobków i niższych dozorców folwarcznych — pozostawia wiele do życzenia. Ludzie to po większej części łakomi na cudze dobro, niechętni i w niczem niezainteresowani powodzeniem przedsiębiorstwa, któremu pracę swą wynajmują. Suma ich pracy dla rolnictwa, jeśli ją obliczać będziemy na godziny, jest wielką, lecz korzyści istotne ani się porównać dadzą z usługami, jakie tej kategoryi siły przynoszą we Francyi lub Niemczech. Komunałem dość rozpowszechnionym u nas jest dynamometryczne zestawienie mocy tutejszego i zagranicznego robotnika, oraz dowodzenie, że wyższa zapłata i wynikające z niej lepsze odżywienie — może zwiększyć ilość wykonywanej przezeń pracy, uczynić ją dla chlebodawcy pożyteczniejszą. Zapewne, dowodzenie to w teoryi zupełnie słuszne, w praktyce zyska wagę wtedy, gdy połączenie innych warunków cywilizacyjnych, jak moralność, oświata, hygiena, poczucie korzyści dobrobytu itp. postawią nasz lud na równi z narodami zachodu. Dziś, instynkty szlachetniejsze nie przedarły się jeszcze przez grubą powłokę ciemnoty i dość przyjrzeć się życiu włościan, żeby spostrzedz, jak daleko nam jeszcze do chwili, w której potężna ta warstwa narodu uspołeczni się w duchu pojęć cywilizacyjnych. Nasz chłop, mimo że dobrobyt jego wzrósł znacznie, po dawnemu opycha się kartoflem, okrywa zgrzebną koszulą, mieszka w dusznej chałupie i, z małymi wyjątkami, żyje tak, jak przed pół wiekiem, za „błogosławionych" czasów pańszczyznianych. Jego jedynem dążeniem jest pomnażanie mienia, zaokrąglanie posiadłości, ale zamiłowania do życia wygodniejszego, do układania go w formy estetyczniejsze niema i nie prędko mieć będzie. I dopiero oświata — umiejętnie stosowana — da mu poczucie piękna i podniosłych obowiązków.

W licznej warstwie robotników folwarcznych spotykamy te same obyczaje i parobek wiejski nie wzdycha za tłustym kawałkiem mięsa lub wygodniejszą sukmaną, lecz przedewszystkiem zajmuje go myśl o starości pędzonej na własnym zagonie, jedyną troską obawa o zgon... pod płotem. I dlatego widząc, że praca jego, choćby najgorliwsza, daje mu aż do grobowej deski tylko szansę poganiania wołów w ciężkim pańskim pługu, że jest przytwierdzony do warsztatu, który mu jaśniejszej chwili w życiu nie zapowiada, musi być tem, czem jest — bezdusznem narzędziem zajęć częstokroć dlań wstrętnych i wykonywanych w celu zaspokojenia głodu i wyżywienia rodziny. Usługi w ten sposób spełniane nie są pracą, nie są nawet robotą... to popychanie kijem niechętnego wołu roboczego. Dajmy jednak temu robotnikowi pewność pomyślniejszej przyszłości, ubezpieczmy mu po pewnej liczbie lat uczciwej służby byt spokojniejszy, a przemiana tych „próżniaków i złodziei" będzie zdumiewającą.

Drżę na myśl zgrozy, jaką powyższe słowa w obozie większej własności, noszącej w piersiach cześć dla „tradycyi," wywołają. „Cóż to, panie demokrato — zawołają — chcesz może, ażebym parobka mego dopuścił do udziału w zyskach, lub też roi ci się po głowie, że z nim ziemią się podzielę?"

Korząc się przed tem... świętem oburzeniem, tyle mam jednak odwagi, że myśl moją do końca wypowiem. O udziale w zyskach nie marzę, choćby dlatego, że pociągałoby to za sobą konieczność prowadzenia dokładnych rachunków i wkraczało na pole nieznane jeszcze u nas... podziału ziemi nie projektuję, bo szanuję istniejące warunki własności.

Po prostu sądzę, że dla poprawy stosunków robotniczych na wsiach, należałoby zabezpieczyć tym robotnikom pewnego rodzaju *emeryturę pod formą dożywotnich działów ziemi, oddawanych jako wynagrodzenie za dwudziestopięcioletnią nienaganną służbę.*

Oto praktyczne zastosowanie myśli rzuconej:

Każdy folwark, w posiadaniu większych właścicieli będący, ma jakąś przestrzeń gruntu, która, czy to pod postacią nieużytków, czy pól na granicach lub po za granicami majątku położonych, dla właściciela przedstawia wartość niewielką.

Z gruntów takich można tworzyć kolonie 3 lub 4-morgowe dla emerytów.

Początkowo na koloniach takich właściciel postawić by musiał skromne budynki—chałupę, stodołę i chlew. Koszt jednorazowy byłby dość znaczny, bo około 250 rs., ale ofiara nie w jednym roku poniesiona, sowicie by się moralnie i materyalnie opłaciła. Dalsza piecza i konserwacya budynków należałaby do emeryta.

Zasiew i uprawa pól kolonii obowiązywałaby również jej chwilowego posiadacza.

Ze względu, że przestrzeń 4-morgowa nie wystarcza na utrzymanie rodziny, emerytowi dozwoli się nadal pełnić dotychczasowe obowiązki, jeśli mu sił i zdrowia na to starczy, w każdym zaś razie, on i jego rodzina mają pierwszeństwo w wynajmowaniu się do robót folwarcznych.

W razie śmierci emeryta kolonię odbiera dwór dla oddania jej kandydatowi następnemu, żona zaś zmarłego i jego nieletni zstępni w prostej linii otrzymują jednorazowe wynagrodzenie w stosunku 30 rubli za morgę posiadanej przez nieboszczyka osady.

Z uwagi, że kolonie emerytalne nie są osobistą własnością posiadacza, lecz dziedzictwem robotników zasłużonych; dwór czuwa nad sposobem gospodarowania, zabrania poddzierżaw komukolwiek i wogóle przedsiębierze środki, zapewniające utrzymanie osady w kulturze i dobrym stanie.

Szkicowy ten projekt w niejednym punkcie wymagałby uzupełnień lub zmian, lecz jego myśl zasadniczą winni przyjąć ziemianie, choćby ze względu — jak wyżej powiedzieliśmy — *na interes*. Średni folwark, jeżeli założy trzy takie kolonie, będą one dostateczną ilością dla kandydatów miejscowych, a jakieś dwanaście morgów, odłączone od trzydziestowłókowego np. folwarku, w niczem nie obciążą majątku.

Czy potrzeba wreszcie wykazywać wpływ zbawienny, jaki wywrze na robotnika pewność nagrody za uczciwą pracę? Jeśli przytem pod kategoryę emerytów podciągniemy robotników, którzy z niezależnych od nich przyczyn ulegli kalectwu w czasie pełnienia obowiązków (choć to wypadki rzadkie na wsi), wytworzy się położenie, które jaknajkorzystniej oddziała na umoralnienie sił roboczych. Nieufny, niechętny i obojętny sługa zamieni się na gorliwego przyjaciela i towarzysza trudów rolnika. Kraść nie będzie potrzebował, bo każdy dzień uczciwej pracy zbliży go do upragnionej swobody, opieszałym nie będzie, bo przewinienie pozbawi go praw emerytalnych, innem okiem i na świat i na pracodawcę spoglądać będzie, bo świat nie tak ciężkim i smutnym mu się wyda, bo chlebodawca nie będzie wyzyskiwaczem jego pracy, lecz opiekunem i przyjacielem. Za zagon ziemi, za kąt na starość spokojny zapłaci całemi latami usług rzetelnych i pożytecznych.

Gdy widzę, jak drobnemi ofiarami moglibyśmy zadość uczynić najprostszym obowiązkom, tembardziej, że idą one w parze z interesem, zapytuję tylko: czy zrozumienie własnej korzyści jest już tak w nas przytępionem, że po nie nie sięgniemy? Wszak myśl, którą rzucam — to bezpieczeństwo, spokój i zysk rolnika.

Pesymiści powiedzą, że mrzonką jest kołatać do wrót pleśnią pokrytych. Nie! Wierzę i widzę, że w życiu narodów powstają epoki przełomów, w których zmieniają się najbardziej zakorzenione uprzedzenia i zesztywniałe charaktery, w których zamykają się rachunki z przeszłością, otwierając drogę nowego życia. Tę epokę przeżywamy obecnie, a jednym z jej dodatnich objawów będzie zabezpieczenie starości robotników wiejskich ze strony ich pracodawców *).

Gozdawa.

BADANIA NAUKOWE.

SYMBOLIZM.

Sfera obrządków i formalności, jakkolwiek uważalibyśmy niektóre z nich za błahe i pozbawione wszelkiej uzasadnionej treści, przedstawia również dla badacza, rozważającego powstanie i przekształcanie się różnych zewnętrznych oznak, które towarzyszą czynnościom ludzkim, widok niepozbawiony ciekawości. Okazuje się, iż formy, słusznie uchodzące obecnie za czczy i nieuzasadniony konwencyonalizm, posiadały niegdyś treść nader wyraźną; że inne znowu, umiejące jeszcze i dzisiaj dowieść swej potrzeby, powstały zgoła z innych pobudek i, w miarę rozwoju społecznego wlewając nowe wymagania w staroczesną osłonkę, przekształcały zwolna powody, dowodzące ich użyteczności. Dzieł, dochodzących początku pojedynczych zwyczajów obrządkowych, moglibyśmy naliczyć mnóstwo; jednakże niewiele znajdziemy takich, które usiłowałyby jednym rzutem ogarnąć całokształt rozpatrywanej dziedziny. W liczbie pracowników na tej niwie należy wymienić M. Kuliszera, którego drobne prace w tym względzie, rozrzucone po czasopismach rosyjskich, zostały obecnie zestawione w jedną całość **). Mówimy tu o szeregu rozpraw, zatytułowanych zbiorowem mianem „Symbolizm w życiu, historyi i prawie." Przedstawieniem ogólnego tła tych wywodów mamy zamiar zająć się w artykule niniejszym.

W niektórych okolicach Afryki dwóch ludzi, pragnących zawrzeć wzajemne pobratymstwo, siada na tej samej skórze, czynią nawzajem lekkie nacięcia na piersiach, mieszają sączącą się krew a następnie piją ją i wcierają w zrobione rany. U birmanów, dla zawarcia podobnego związku braterskiego, mieszają krew z nacięć na ręku i wlewają do wódki; u jednego plemienia z Borneo skrapiają nią cygara i sądzą, że połykają wraz z dymem. Rozpatrując powyższe obrządki, widzimy, że służą one do wytwarzania pomiędzy uczestnikami stanów odmiennych niż dotychczasowe. Mają mianowicie na celu zbliżenie innoplemieńców. Tymczasem, na tym szczeblu rozwoju, z pośród którego zaczerpnęliśmy przykłady, ciągłe nienawiści i zapasy są stałem zjawiskiem pomiędzy różnemi plemionami. Człowiek radby usunąć to naprężenie przez związek pobratymczy; lecz nie czuje się uprawnionym do uczynienia tego przez prosty akt wolnej woli i udaje się o pośrednictwo do przyrody, odtwarzając na drobną skalę te wyjawy życiowe i społeczne, które zazwyczaj towarzyszą stosunkom przyjacielskim w jego otoczeniu. Otóż, w zajmującym nas okresie ewolucyi społecznej, stosunki solidarności i braterstwa

*) Ponieważ jedyną pobudką urzeczywistnienia tej myśli byłaby dobra wola, a jedyną kontrolą prawidłowego działania czyste sumienie, projekt więc autora opiera się na bardzo idealnej, to jest na bardzo szczupłej podstawie i szerokiego zastosowania oczekiwać nie może. Ale chociażby on tylko wskazał drogę nielicznym jednostkom, nie uważalibyśmy go za bezpłodne rojenie, a miejsca, które w naszem piśmie zajął — za zmarnowane. W ubóstwie naszych reform społecznych każdą drobną poprawę liczyć należy. *Red.*

**) *Oczerki srawnitielnoj etnografii i kultury.* 1887.

ograniczają się do obrębu jednego plemienia, a wszystko, co wybiega po za jego widnokręgi, uchodzi za wrogie; w ten sposób jednoplemienność i wspólność krwi stanowią zwykle cechę przyjaźni. I oto dla usunięcia zawad, stawianych braterstwu dwóch ludzi przez różnoplemienność pochodzenia, przedsiębierze się szereg czynności, mających ustanowić przyjaźń za pomocą odtworzenia wyjawów, które są nieodłączne od zwykłego braterskiego obcowania — za pomocą wspólności krwi. Człowiek uskutecznia nawiązanie nowych porządków za pośrednictwem symbolów, naśladujących działanie przyrody; nie rozumie on stosunków natury moralnej w oderwaniu od podścieliska materyalnego, którego tamte są wytworem. Jeżeli jedne mają być wcielone w życie, powinno się urzeczywistnić i drugie — chociażby symbolicznie. Taki tryb postępowania da się z łatwością zauważyć we wszystkich czynnościach pierwotnego życia społecznego, mających na widoku ustalenie spotkań przyjacielskich. A ponieważ pokojowe obcowanie widzimy jedynie wśród grupy jednoplemieńców, przeto i przy zawarciu przymierzy i pobratymstwa odtwarza się sztucznie i konwencyonalnie objawy, towarzyszące temu naturalnemu pożyciu solidarnemu. Livingstone wspomina, że dla zawarcia pokoju ludy środkowej Afryki mieszają krew. Gdzieindziej, zainteresowane w dokonaniu tego strony jedzą i piją wspólnie—jest to powtórzenie wspólnego ucztowania jednoplemieńców; to samo znaczenie posiada zwyczaj czerwonoskórych palenia „fajki pokoju“ — przedstawiciele wrogich plemion schodzą się i w dowód przymierza palą z tej samej fajki. Pogląd, iż jedzenie z jednego naczynia stwarza braterstwo, dotrwał w prawodawstwie Europy aż do końca średnich wieków w praktykach przeciw żydom. Zabronionem było chrześcianinowi jeść razem z żydem, korzystać z jego łaźni i nawet kupować odeń przedmioty korzenne, że już nie mówimy o surowem karaniu stosunków płciowych. Za Ludwika XI spalono chrześcianina, który poślubił był żydówkę; jeszcze w XV w. karano surowo żydów, wstępujących do chrześcijańskich domów nierządu. Do symbolów pokojowych należy też siedzenie na jednej skórze, ssanie piersi kobiet plemienia itd. Nie potrzebujemy dowodzić, że i to jest odtworzeniem rzeczonych stosunków z pośród plemienia. Wszystkie powyższe przykłady powtarzają objawy właściwe pokojowemu obcowaniu jednoplemieńców; lecz, dla uwidocznienia zamiarów przyjacielskich, używa się jeszcze innego pokroju symbolów, mianowicie przedstawiających unicestwienie narzędzi walki. U dakotów zawarcie pokoju wyraża się np. w spaleniu tomahawku.

Przytoczone fakty wykazują znaczenie i genezę symbolów w rozwoju ludzkości. Dla umysłu pierwotnego, zawiązanie wszelkiego rodzaju stosunków natury moralnej winno odbywać się za pośrednictwem stosownej formy rzeczowej; fakty moralne przekładano stale na język materyalny i wcielano w życie tak, jak gdyby to czyniła sama przyroda. Jest to w związku z zachowaniem się człowieka wobec natury. W przeszłym artykule „Człowiek a przyroda“ wykazywaliśmy to bojaźliwe uczucie posłuszeństwa, które umysł pierwotny piastuje względem wyjawów przyrodzonych; do podanych wtedy szczegółów moglibyśmy dorzucić jeszcze jeden. Hindusi nigdy nie spieszą z pomocą tonącemu w „świętych“ nurtach Gangesu — zwyczaj szeroko rozpowszechniony i zauważony jeszcze w 1864 r. w Czechach, gdzie rybacy nie ośmielają się ratować topielców z obawy, ażeby wodnik nie ukarał ich za to. Tę świętą nietykalność, którą się cieszą zjawiska przyrodzone, przenosi się i na wzajemne obcowanie pomiędzy ludźmi; ustanowienie pewnego stanu rzeczy wymaga więc symbolów, powtarzających te okoliczności, z których samorodnie wywiązuje się żądany porządek. Możemy teraz uprzytomnić sobie dziejową rolę symbolów. Były to znaki, uświęcające pewną czynność — przez naśladowanie naturalnej formy wywiązywania się tejże.

Moglibyśmy uzupełnić wywody Kuliszera powiedzeniem, iż kazuistyka ludzka znalazła w symbolizmie oręż ku przełamaniu „świętej“ a „nietykalnej“ tradycyi za jej własnem pośrednictwem. Tak różnoplemieniec był dla pradziadów wrogiem; wnuk łamie tę świętą zapowiedź praojcowską przez usynowienie zapomocą ssania piersi. Utrzymano tradycyę nienawiści plemiennej — nawet w jej łamaniu.

W miarę samorozwoju społecznego, istniejące stosunki przedmiotowe ulegają zmianie. Tymczasem użycie jakiegoś symbolu przedłuża się, mimo zaniknięcia podścieliska materyalnego, które go zrodziło. Staje się on wówczas niezrozumiałą formalnością, jak np. obecność młotka przy subhastacyach. Któżby bowiem poznał w nim ów młot kamienny, rzucany na równi z dzirytem, toczącem się jajkiem itd. dla oznaczenia granic posiadłości nieruchomej, a tembardziej odgadł, że i ta czynność rzucania jest szczątkiem z jeszcze odleglejszych czasów, gdy wrogie sobie plemiona potykały się wzdłuż pogranicza, walcząc młotami i dzirytami o obszar terytoryów? Ten przykład wprowadza nas w dziedzinę przekształcania się symbolu po przez dzieje i zatracania pamięci o jego pierwotnej genezie. Dla uzupełnienia takiego przebiegu zatrzymamy się nieco nad obrzędowością przeprowadzania miedzy.

Starosta wiejski w Małorosyi obchodził od czasu do czasu granice gminne w towarzystwie wyrostków, zwracał ich uwagę na bardziej rzucające się w oczy punkty pograniczne, dlatego, ażeby utkwiły w pamięci ;przy każdym zakręcie miedzy obliczał kroki od najbliższego drzewa, kopca itd. i własnoręcznie wymierzał odpowiednią ilość rózeg. Zwyczaj ten spotykamy w wielu okolicach Europy; w Niemczech przeprowadzanie lub sprawdzanie miedzy obchodzono z całą uroczystością, a towarzyszących malców chłostano, targano za uszy, uderzano w policzek; czyniono to samo nieraz i z dorosłymi świadkami. Pochodzenie tych zwyczajów miedzowych znajduje się w jaknajściślejszym związku z charakterem nabywania posiadłości ziemskiej w czasach pierwotnych, jakkolwiek uczestnicy zgoła nie domyślali się, że w swych głęboko uzasadnionych postępkach są jedynem echem dawno przebrzmiałych wieków. Na taką przeszłość wskazuje już nietykalność kamieni, drzew i kopców pogranicznych; niemieckie prawo zwyczajowe za zniszczenie lub przeniesienie kamienia miedzowego rozkazywało zakopać przestępcę w ziemię aż po biodra, a wystającą głowę przeorać pługiem; za obłupanie kory lub zerwanie gałęzi z drzewa przecinano brzuch, wyjęte kiszki przybijano do pnia i włóczono winowajcę, póki one nie nawinęły się na drzewo. Jeden badacz wyprowadza cały kult kamieni z nietykalności głazów miedzowych. Lecz strzeżeniej granicy nie stanowi już pierwotnej funkcyi społecznej kamieni, gdyż epokę kładzenia ich wzdłuż miedzy poprzedziła inna — rzucania na mogiłę. I oto dochodzimy do pierwiastkowego źródła nietykalności znaków miedzowych — były one w początkach kurhanami grobowymi. Jeżeli jeszcze uwzględnimy fakty, że w sprawach spornych o granice odbierano przysięgę na miejscu i strony, rozebrawszy się do koszuli, klękały w głębokiej jamie z daniną na głowie; jeżeli przytem wspomnimy o wyznaczeniu granic za pośrednictwem ręcznych zapasów młodzi lub najrozmaitszej formy pojedynków, pochodzenie zwyczajów miedzowych stanie się wyraźnem. Złe obchodzenie się, pojedynki, wstępowanie do jam z ziemią na głowie, nietykalność kamieni, wszystko to są szczątkowe pozostałości dawnych wojen o pogranicze. Pod głazami miedzowymi chowano ongi wrogów, w walce poległych: chłostanie malców, targanie za uszy itd. są znowu równoznacznikami czynnego krzywdzenia świadków — uczestników walki. W ten sposób zdarzenia czasów pierwotnych utrwalają się w szczątkowej postaci w dalekie stulecia.

Powyższe fakty i wnioski wyjaśniają nam najzupełniej naturę obrzędowości i tłomaczą, dlaczego symbole, używane przy wiadomych czynnościach, przybierają u wszystkich ludów pewną określoną, a nie jakąś inną formę.

Na zakończenie wypadałoby jeszcze napomknąć kilka słów o pobudkach, które doprowadziły ludzkość do dania takiego wpływowego miejsca symbolizmowi. Tkwią one w niedostatecznym rozwoju pierwotnej mowy. Tak, mimika stanowiła u tasmańczyków konieczną część składową mowy. W podobny sposób porozumiewają się z sobą plemiona, nawet często, mające coś do czynienia. Znaki symboliczne po przez wieki dokonywane dla wypowiedzenia wiadomych uczuć, spraw i faktów, są następnie uświęcone zwyczajem i stają się koniecznością konwencyonalną.

Lud. Krz.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

XVIII.

Szczęśliwi ludzie i zazdrośni bogowie. — Różnice między człowiekiem a zwierzęciem, według p. Dębickiego. — Pastwienie się nad monizmem. — Wycieczka do Hadesu. — Kasznica i Caro.

Czy przypominasz sobie piękny wiersz Schillera o pierścieniu Polikratesa i morał w nim zawarty? Bogowie nie lubią nadmiernego szczęścia śmiertelnych i tyle już razy dali im się zazdrością swą we znaki, że w Grecyi ulubieniec fortuny czekał ustawicznie, rychło-li z pogodnego nieba spadnie nań grom i każdą iskierkę radości potokami łez zalać każe. Boję się, ażeby los podobny nie spotkał kiedyś — bodajby w życiu pozaziemskiem — p. Michała Dębickiego. O tym śmiało zanucić można z Horacym: Beatus qui procul... a prawda! druga część nie stosuje się, bo stosować nie może do pisarza pracowitego i płodnego. Bądź co bądź *beatus* — bo nietylko dzieła świeższe, pełne mroźnych uwag o parzących kwestyach puszcza w dwu wydaniach (może zasługa w tem wyłączna p. Cithurusa), ale nawet odległe wspomnienia czasów studenckich, jak np. *O zasadniczych różnicach pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.* Gdybym chociaż we śnie był bóstwem — Heine dowodem, że sny takie zdarzają się — zazdrościłbym tego niesłychanego powodzenia; lecz jako pospolity mieszkaniec padołu ziemskiego mogę je tylko podziwiać. Ale proszę nie upatrywać w tem bynajmniej uwagi złośliwej; podziwiam prawdziwej i szczerej jeszcze gusta ludzi i patryotyzm gorący, co przekłada broszurki miękkie w dowodach lecz twarde w wysłowieniu, ale swojskie, nad cudze gruntowne i... poważne.

Dwanaście lat bieży już woda od chwili ogłoszenia po raz pierwszy tego młodzieńczego studyum, nauka w krótkim tym okresie poznała nowe morza faktów i zdarzeń psychologicznych a pomimo wszystko Polikrates filozofii rodzimej wciąż jeszcze zbiera wawrzyny za grot, wycelowany w... ideę monizmu.

Aha, „więc takie było pudla jądro“— gotów jesteś zawołać z Faustem zdumionym, że z psa-przybłędy wylazł Mefisto— scholasta. Tak — to jest przyczyna, że nieprawdopodobne stało się prawdziwem. Już w r. 1875 p. Dębicki uzbraja się do przyszłych zapasów z nauką empiryczną, już wówczas nie

mógł patrzyć obojętnie na argumenty, zmierzające do utożsamienia duszy ludzkiej i zwierzęcej pod względem jakości, a rozdzielenia ich jeno pod względem ilościowym. Już wówczas „hipoteza ewolucyonistów o pochodzeniu człowieka“ wyprowadzała go z równowagi. Już wówczas umiał kruche wnioski i uogólnienia podszywać cytatami niezliczonemi i gromadą faktów, które wzięte oddzielnie wcale niezły stanowiłyby nabytek dla literatury, rozmiłowanej bardziej w pisaniu niż czytaniu, ale wtłoczone w sylogizm tendencyjny tracą połowę wartości. Do liczby ich należy niewątpliwie ścisły dosyć rozbiór różnic logicznych i lingwistycznych, zachodzących między królem stworzenia a jego podwładnymi, ale jest za lakoniczny i szkicowy, by mógł stanowić przyczynek, do jakiego rości sobie prawo. Święta to prawda, że zwierzę do abstrakcyi jest niezdolne, że choć posiada mowę dźwiękową i migową — tak zwanej artykułowanej nie ma i wogóle w swych środkach porozumiewania się zgoła żadnego nie czyni postępu, że nie umie wznieść się nad poczucie danego, konkretnego przedmiotu lub wrażenia do pojęcia rodzaju lub gatunku. Nikt też nie zaprzeczy, że świat zoologiczny stworzyć cywilizacyi, przekazywać dzieciom swoim tradycyi nie potrafi, że jest niedostępny kategoryom czasu, jak przeszłość i przyszłość; ale przedewszystkiem dzisiaj podobne spostrzeżenia już się przeżyły dla każdego, kto zajrzał do Espinasa i innych gruntownych i *kompletnych* znawców społecznego życia zwierząt; tam wyłożone są pełniej, systematyczniej, nagromadzone obficiej, jakkolwiek ogłoszeniu ich nie towarzyszy ton Kolumba, wykrzykującego „Ziemia! Ziemia!“ na widok upragnionych brzegów Nowego Świata...

Następnie wszystkie owe dane, przytoczone przez autora *Postępu i szczęścia* nie zupełnie — delikatność zakazuje wyrażać się bardziej stanowczo — upoważniają go do podawania za pewnik bezwarunkowy, że natura duszy zwierzęcej nie ma nic wspólnego z objawami psychicznymi u istot niższych. Przesłanki i konkluzya połączone zostały zasadą elementarną logiki, że gdzie nie znajdujemy jednorodnych i równosilnych następstw, tam nie było jednorodnych i równosilnych przyczyn, tj. że skoro zwierzę nie stworzyło moralnego i umysłowego postępu, nie stworzyło tego, co się nazywa światem ludzkim — tedy i władze jego ducha rdzennie się różnią od jaźni człowieczej. Nie potrzeba jednak wielkiej przenikliwości, ażeby w tym łańcuchu rozumowania dostrzedz gruby sofizmat. Logika — logiką, ale zastosowanie jej prawa w tym razie było sobie maleńkiem jej nadużyciem, spaczeniem prostego biegu wody dla dobra własnego młynka.

Niechaj nikt nie bierze słowom tym za złe, że tak długo płyną z powodu odświeżenia zadawnionej książeczki: autor widocznie i dzisiaj pisze się na nią, skoro nie zaniechał powtórnego wydania. A przecież można było mniemać, że późniejsze utwory tego samego pióra wspięły się o parę szczebli wyżej na drabinie inteligencyi filozoficznej. Walka z niewiarą w *Nieśmiertelność duszy*, to rzecz osobistego upodobania, to protest przeciwko negacyi; ale trudniej byłoby usprawiedliwić pojedynek z niewinnym, nikomu nie wadzącym monizmem. Ten już nikomu ideałów nie wydziera, owszem był i jest zasadą najpodnioślejszych, najczyściej idealnych poglądów, bo był i jest bratem — panteizmu, który po wsze czasy wołał: „Duch jest jeden i przenika wszystko.“ Trzeba być już bardzo zaślepionym Don-Kiszotem, ażeby *w nim* widzieć szkodliwego wroga. Ze stanowiska publicystyki jest to bezcelowe, ze stanowiska teoryi... oryginalne.

Nie stało odrazu człowieka, który należał u nas do lepszych znawców filozofii i był w niej klasycznie wykształcony, ale niewiadomo dlaczego, zamiast ją szerzyć i rozkrzewiać, krył w głębi własnego umysłu. Józefa Kasznicę nazywano powszechnie wytrawnym prawnikiem, ale w zamiarze podniesienia nad miarę zasługi jego, uszczuplono je. Był on czemś więcej, niż mólem mieszkającym przez zimę w *Pandektach* — bo człowiekiem rozległej, wielostronnej inteligencyi. Ale właśnie dlatego generacya młodsza patrzyła nań jak na zagadkę. Nie rozumiano jaka przyczyna naukowej jałowości, tak nielicującej z dobrem stanowiskiem profesora. Wprawdzie chwalcy mają zawsze na ustach kilka drobiazgów z dziedziny socyologii, ale to jeszcze nie tytuł do wyznaczania mu odrazu miejsca w rzędzie nigdy nieumierających. Słyszano naokół hymny pochwalne, śpiewane zwłaszcza przez ludzi starszych — a w wykładach daremnie oczekiwano owych błysków genialnej wrzekomo improwizacyi. Można się było domyślać, a w bliższej pogawędce przekonać, że jest obznajmiony z naukami społecznemi, jak mało kto, że dzieje ogólnych pojęć o prawie i życiu zbiorowem były mu sferą domową, a jednakże każdy opuszczał ławę uniwersytecką z uczuciem ważnej bardzo luki, którą miała zapełnić filozofia prawa, z uczuciem żalu, że do ciężkich podręczników zwracać się musiał dla zbadania filozoficznych podstaw umiejętności, w których kole się obracał. Żywotność naukowa przeszła w tej sympatycznej i pono wielkie niegdyś rokującej nadzieje jednostce i przeniosła się w dziedzinę pracy obywatelskiej, której dobroczynne skutki i pomoc w walce z losem niełaskawym odczuł na sobie i wdzięczną pamięcią odpłaca niejeden z uczniów zmarłego...

Zajrzawszy do „krainy cieniów,“ o jednym jeszcze wspomnieć wypada. (Zresztą, bezpieczniej jest mówić o nich, niż o żywych — zarzucają mi bowiem, że głos mój jest hukaniem puszczyka i tym, do których się stosuje— rychłą wywróża śmierć; oskarżenie zaś popierają aż dwoma nazwiskami: biednego Chełmińskiego - Korwina i przed chwilą pożegnanego Kasznicy. Nie chcąc więc na wszelki wypadek obciążać sumienia, wolę mówić o nieboszczykach). Zeszedł do grobu znany profesor Sorbony — Caro. Wykładał tam filozofię z niezwykłym darem słowa zawsze licznemu bardzo audytoryum. Urodził się w r. 1826. Dziełem wydanem w dwudziestym siódmym roku życia *O mistycyzmie w w. XVIII* zapowiedział zawczasu, jakiemu hołdować będzie kierunkowi. Był też wiernym wyznawcą spirytualizmu, który we Francyi ma jeszcze wybitnych przedstawicieli, jak Paweł Janet, Bouiller, Ferraz, Ravaisson, Vacherot i inni i wraz z nimi zawdzięczał, zdaje się, wiele Wiktorowi Cousin, płytkiemu dosyć ale zapalającemu umysły do poszukiwań filozoficznych. Caro należał do najpłodniejszych. Czasopisma, filozofii poświęcone, miały w nim stałego współpracownika. Zasłynął też kilkoma dziełami większych rozmiarów, z pomiędzy których dwa: *Pesymizm w w. XIX — Schopenhauer, Hartman i Leopardi*—oraz *Filozofię Goethego* zdarzało się spotykać i wśród miejscowej publiczności. Zakrój polemiczny mają: *Materyalizm i nauka*, *Littré i pozytywizm* *). Do kłótliwych obrońców swego sztandaru nie należał. Owszem podziwiano w nim wysoki takt pisarski i nawet w szeregach przeciwników ceniono za niemały talent. Wogólności spirytualizm francuski dalekim jest od ciasnoty sekciarskiej i nietolerancyi, jaka cechuje np. naszych matadorów niby-idealizmu. Nie mówię rozumie się o posługaczach, bo ci mają całkiem odrębny, ze szczeblem wykształcenia zgodny oręż. Ale też właściwością francuskich obrońców dualizmu jest głęboka, niezwykle gruntowna erudycya, literacka, wielkie oczytanie w systematach greckich i rzymskich, wreszcie w stosunkach literackich rycerskość. Słowem są godnymi spadkobiercami, jeśli nie geniuszu, to charakteru autorskiego Descartes'a. A Caro w tyle za nimi nie pozostawał.

Robon Dion.

*) W liczbie ważniejszych jego pism figurują nadto: *Etudes morales sur le temps présent*, *Nouvelles études sur le temps présent*, *L'idée de Dieu et ses nouveaux critiques*. Był też członkiem Akademii francuskiej i Akademii nauk moralnych i politycznych.

W SPRAWIE JĘZYKA
międzynarodowego.

III.

Drugi zarzut, to zbytnie poleganie autora na logice swoich uczniów; bo czyż każdy z nich potrafi urabiać wyrazy stosownie, odróżniać pojęcia abstrakcyjne, zbiorowe itp. Lecz i ten zarzut upada: wydanie słownika usuwa potrzebę pracy tego rodzaju, a słownik, oparty na logice, prędko da się przyswoić najciaśniejszym głowom i nawet pewien ład do nich wprowadzi. Ludzie zaś średniem obdarzeni rozwinięciem, po pewnym czasie wprawy, potrafią odróżniać najrozmaitsze odcienia wyrażeń i wszelkie słowa pochodne, znając źródłosłowy, przyrostki i końcówki (sano — zdrowie, sana — zdrowy, malsano — choroba, malsana—chory, sanigi — uzdrawiać, sanidżi— wyzdrowieć, saniganto — lekarz, malsanema — chorowity, sanilo—lekarstwo, sanilujo—apteka, sanilujisto—aptekarz itd.). Trzeci z zarzutów—to ubogość sylab, powtarzanie się jednych i tych samych przyrostków i przystawek: mal, eg, ec itd. Volapükiści słusznie będą wskazywać bogactwo dźwięków swego języka, ale i ten zarzut straci wagę, jeżeli uwzględnimy wynagradzającą go łatwość słownika. Prócz tego nawet przy tem powtarzaniu się „język międzynarodowy“ brzmi stokroć piękniej od volapüku. Budowa samogłoskowa zbliża go pod względem dźwięczności do włoskiego. Dość przeczytać w broszurce Esperanto tłomaczenie: El Heine, które pod względem melodyjności — nie jest to przesadą — przewyższa oryginał! Piękność tego tłomaczenia może niejako zachwiać i czwarty zarzut, że „lingvo internacia“ mało nadaje się do wierszy, gdyż dopuszcza układanie jedynie rymów gramatycznych.

Od słownictwa, przechodząc do gramatyki, śmiało możemy powiedzieć, że stanowi ona ideał prostoty. Zawiera tylko to co jest konieczne. Dla rozumu wydaje się zabawką. Dla pamięci jest tem, czem woda dla gąbki: wsiąka w nią *). Deklinacya, naśladująca włoską, niedopuszcza omyłek w mowie lub na piśmie (deklinacya to artykułowa (de, al) wbrew samowolnej końcówkowej Schleyera, zbudowanej prawidłowo, lecz nienaturalnie przez końcówki 2, 3 i 4 przypadku: a. e, i — porządkowe samogłoski). Konjugacya Schleyera o wiele trudniejsza—osobliwa; dziwić się należy, że tworząc język na wzór angielski, uczony niemiec nie wziął zeń częściowo tam przeprowadzonej niezmienności osobowej i liczbowej końcówek konjugacyjnych. Rodzajów u Esperanto nie ma: jedynie samice odróżniają się przez przyrostek: in. Stopniowanie przymiotników naśladuje francuskie, włoskie i angielskie: (pli, plej). Jeżeli zwrócimy się do sufiksów, zadziwi nas niezmierna naturalność. Możnaby powiedzieć, że Esperanto nie stworzył języka, ale wziął wszystko to, co z natury swojej w gramatyce jest międzynarodowem, jako powstałe na zasadzie jednorodnej logiki ludzkiej. Tak np. ist oznacza „zajmujący się czemś“—lecz kimże jest okulista (u Esper. okulisto), jeżeli nie człowiekiem zajmującym się oczami, podobnież artisto, lingvisto, a na wzór tego botisto (szewc), vestisto (krawiec) itd. Podobnież i przyrostek *in* dla oznaczenia rodzaju żeńskiego nie jest samowolnym: Lövin, Gräfin, Krystyna, Karolina itd. Nie są to już tylko

*) Ekonomia, zaprowadzona tutaj, czasem zakrawa nawet na przesadę. Ty i wy — oznacza się przez jedno vi, jak w angielskim.

matematyczne pomysły Schleyera — to naśladowanie natury przez wysoko stojącą sztukę.

Wszystko to upoważnia nas do postawienia wysoko nowego języka po nad ciężkim teutońskim architektonicznym wynalazkiem Schleyera. Jeżeli volapük nazywają kwintesencyą logiki, to „lingvo internacia" jest kwintesencyą tej kwintesencyi.

Na zakończenie, ażeby słów moich nie wzięto za gołosłowną reklamę, załączam przy niniejszem początek artykułu „O języku powszechnym" z nr. 38 *Prawdy* w przekładzie dokonanym po trzech dniach nauki. Ten przykład najlepiej okaże bogactwo i dźwięczność nowego języka i wytłomaczy, czemu kupiwszy broszurę d-ra Esperanto z czczej ciekawości, otworzywszy ją ze sceptycznym uśmiechem, zamknęliśmy ją z prawdziwym zachwytem. Zachwyt ten natchnął nas pragnieniem powołania ogółu do głosowania za językiem d-ra Esperanto, w którym to celu udajemy się do łaskawego pośrednictwa *Prawdy*.

L. B.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

W. Rapacki: *Do światła*, powieść z XV wieku. Kraków.

Dziś zwłaszcza, gdy wyobraźnia pochłonięta sprawami społecznemi, tak rzadko zwraca się po materyał dla swych utworów do przeszłości narodu i gdy wspomnienia dziejów tak są potrzebne, praca dramatyczna i powieściowa tego autora już samym wyborem wątków do przędzy artystycznej budzi sympatyę i uznanie. My jesteśmy często podobni do ludzi bezrękich, którzy malują nogami, nasza powieść musi nieraz zastępować książkę naukową. P. Rapacki wprowadziwszy się do historyi, stale w niej przebywa i wykopuje ładne rudy, które z zamiłowaniem i umiejętnością obrabia.

Wzmianka kronikarska, która mu posłużyła za osnowę do obecnej powieści, jest bardzo ciekawą, autor zaś rozwinął ją w baśń fantastyczną. Pewnemu karczmarzowi nadwiślańskiemu urodziła się szczególna córka. Małem jeszcze dziewczęciem będąc, nietylko poczuła nadzwyczajne pragnienie wiedzy, ale władała ją jakimś tajemniczym sposobem. Nauczyła się po łacinie, poznała niektórych pisarzów klasycznych, a przytem pozostawała w ciągłem rozmarzeniu o studyach wyższych. W otoczeniu Jadwigi nie było nikogo, coby ją w tych porywach wsparł, a nawet zrozumiał. Dopiero wracający z zagranicy i tam wykształcony żyd Józef dodał jej otuchy i obiecał pomoc. Dziewczę ucieka z domu i po wielu niebezpieczeństwach z dziadem lirnikiem przybywa do Krakowa. Tu przygotowana lepiej, dzięki swemu przyjacielowi, w przebraniu męzkiem, wstępuje do Akademii, gdzie zadziwia wszystkich swym geniuszem. Wkrótce wszakże płeć jej została odkrytą. Po zgorszeniu nastąpił proces oraz uwięzienie Jadwigi i Józefa, które zakończyłoby się tragicznie, gdyby potępionych nie uratował biskup. Tymczasem rozjątrzony tłum zburzył dom ojca Józefowego i zawrzał nienawiścią przeciwko żydom. Nienawiść ta wzrosła, gdy między nimi pojawił się czarodziej, który dla odciągnięcia Józefa od wiary chrześciańskiej i związku z Jadwigą, dla swych praktyk tajemniczych utoczył z jej ręki przez starą najmitkę trochę krwi. Sprawiedliwość fanatyzmu zażądała od żydów wskazania winowajcy: na ofiarę za wszystkich poświęcił się Józef, który miał właśnie połączyć się z ukochaną. On zginął śmiercią męczeńską, ona wstąpiła do klasztoru.

Wszystkie te postacie wykrojone są nie według miary rzeczywistych charakterów ludzkich. Tak np. Jadwiga jest „uczoną," „natchnioną," „genialną," „wyprzedza myślą społeczność swoją o kilka wieków," ale bez przekonywających dowodów tej nadzwyczajności umysłu. Nawet jej uniesienia są dosyć zagadkowe. Trudno bowiem zrozumieć ogień, wybuchający przy — odach Horacego. Więcej w niej filologii, niż filozofii.

Cieniem szlachetnym, nieludzkim, rozpływającym się ciągle w mgłach ofiary, jest również młody apostoł w Izraelu, Józef, tak jak znowu postacie z przeciwnego jego ideom świata oddychają tajemniczą grozą i demonicznością. Wogóle w całej powieści widzimy tylko symbole, duchy z ciał rozebrane, mary tonące w mrokach lub dążące „do światła," ale prawie wcale nie spotykamy ludzi.

Zawieramy w tej uwadze raczej charakterystykę utworu, niż zarzut. Realizm nie jest dla nas całym kanonem twórczości artystycznej; najzupełniej równouprawnioną z nim może być fantastyczność.

Na dobro autora zaliczyć trzeba umiejętnie podrobione tło historyczne; znać, że p. Rapacki rozporządza obfitym materyałem archeologicznym.

Ponieważ powieść drukowana była w jednym z *Kuryerów*, a więc styl jej został rozbity na samodzielne, od ciągu oderwane zdania. Ponieważ zaś pod piórem Rapackiego najzupełniej nadaje się on do podobnej operacyi, więc ów "psi trucht" — jak go nazywał Heine — odejmuje dużo wdzięku utworowi, szpecąc go dziwną manierą.

S.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Procesya z p. Prądzyńskim. — Wielostronne zadowolenie. — Świadectwo *Gazety warsz.* — Usunięcie podejrzenia. — Świat stojący na głowie. — Dziwy w roku tryumfów konserwatyzmu. — 3,400 majątków wystawionych na sprzedaż. — Dobrobyt jako podstawa moralności.—Marnotrawstwo chłopów polskich w Prusach. — Chóry Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. — Pod skrzydłami protekcyonizmu.

P. Prądzyńskiego, który przelicytowawszy niemiecką komisyę kolonizacyjną, nabył wieś Kołaczkowo za 300,000 m., dzienniki w uroczystej procesyi obnoszą przed czytelnikami, śpiewając zbawicielowi większej własności niemieckiej w Poznańskiem pieśń chwały i radości. Jest to trzeci z rzędu bohater (pierwszą była pani Frezerowa, drugim p. Chełkowski), który nietylko sam obronił się żelaznemu prawu „przymusowej dobrowolności" sprzedawania majątków polskich niemcom, ale nawet nadłamał je przez nowe kupno. Tym prostym w zwykłych warunkach czynem zasłużył on sobie na wielostronną wdzięczność. Naprzód uszczęśliwił poprzedniego właściciela majątku wysoką zapłatą, potem uradował nas, świadków odległych sromotnego handlu, pognębionych Hiobowemi wieściami, wreszcie sprawił rzetelną przyjemność komisyi kolonizacyjnej, która rozpaczliwie opędza się obywatelom polskim. Gdyby kto jeszcze o tem wątpił, przedstawię mu tak wiarogodne świadectwo, jak *Gazety warszawskiej*, która stwierdza, że „komisya zakupiła w krótkim czasie *5 mil kwadratowych* ziemi naszej, a dzisiaj uporać się nie może z zalewającemi ją ze wszech stron ofertami sprzedaży." Według jej korespondenta „nie ulega kwestyi, że w niedługim czasie co najmniej *trzecia część* naszej własności ziemskiej w W. Ks. Poznańskiem zmieni swych właścicieli, a sądząc z dotychczasowego przebiegu obrony, stanie się łatwym łupem germanizmu. Bo — mówi on dalej — nieszczęściem jest dla społeczeństwa poznańskiego, że właśnie w tak krytycznej chwili brak mu ludzi, którzyby chcieli lub potrafili stanąć na czele i kierować obroną; armia gotowa — lecz brak jej wodza." Dodać trzeba, że rdzeniem tej armii jest „silny i zdrowy stan włościański," ów „zdatny materyał do kolonizacyi wewnętrznej."

Czytając całą tę korespondencyę, poczułem obowiązek oświadczenia, że jej autor nie był nigdy współpracownikiem *Prawdy* i spotkał się z nią całkiem przypadkowo. Być może nawet, że gdy już przed trzema laty dowodziliśmy potrzeby odświeżenia „zużytej krwi" (nr. 30) w przodownikach poznańskich i wykazywaliśmy „brak ludzi," gdy przed rokiem (nr. 37), odsłaniając zasadniczy błąd polityki szlacheckiej w planie banku ratunkowego, przekonywaliśmy, że „jedynym sposobem działania jest wytworzenie osadnictwa miejscowego i wogóle wzmocnienia stanowiska ludności włościańskiej," korespondent *Gazety* uważał nas również za bluźnierców i ani przypuszczał, że w październiku 1887 r. napisze: „niema w obecnem położeniu innego sposobu zachowania owej zagrożonej w swym bycie części własności ziemskiej, tylko parcelacya." Jak gdyby w naszej redakcyi się kształcił, upomina on bank ziemski niemal naszemi słowami: „Nie lepiejże by było — powiada — za pierwsze 50,000 m. zakupić kawał ziemi, rozparcelować i skolonizować, postawić w ten sposób przynajmniej jakiś fakt dokonany, jakiś objaw życia, niż osłaniać się tajemniczym zmrokiem planów wielkich, niedokonanych?.. Czemuż wreszcie żaden z dość znacznej liczby naszych magnatów, a jest kilku rozporządzających olbrzymimi środkami, nie zakupi majątku wystawionego na sprzedaż i nie rozparceluje go pomiędzy okolicznych włościan?" (jeden z nich — ks. Radziwiłł — jak gdyby przerażony tem posłannictwem, z przestrachu został świeżo bernardynem). Doprawdy, zdaje mi się, że czytam *Prawdę*. Bo nawet w rozbiorze przyczyn upadku własności większej znajdujemy nasze twierdzenia. „Kilku z właścicieli dóbr pozaciągało długi, aby za granicą trwonić grosz ojczysty... inni znowu niedołężnem gospodarstwem obdłużyli swe majątki, a cała masa wreszcie kupowała lub obejmowała w drodze spadków ziemię, gdy cena płodów rolniczych dwa razy wyższa była od dzisiejszej."

I to właśnie w roku bieżącym, w roku tryumfów konserwatyzmu, dzieją się u nas rzeczy, o których jego filozofowie nigdy nie śnili: jedno z pism zachowawczych wydrukowało poemat bezbożny pisarza angielskiego, drugie — chwali zjadliwy i przeciwko wszelkim tradycyom wymierzony pamflet na „rodaków," trzecie, czysto szlacheckie, gromi szlachtę i przemawia za parcelacyą... Świat stanął głową a nogi podniósł do góry. Teraz już wcale nie wiem, skąd usłyszę cześć dla Shelleya, skąd sympatyę dla Klina, a skąd pozdrowienie dla chłopa. W kraju fanatyzmów, w prasie, która wszystkie owoce czczonych gajów zjada z łupinami i robakami, wyrzekając się wszelkiego krytycyzmu w obrębie własnej kasty, jest to objaw dziwny, a zarazem pocieszający. Jak cenimy i rozumiemy tylko postępowość trzeźwą i sprawiedliwą, tak cenimy i rozumiemy podobny konserwatyzm. Bezwzględna chwalba swojej gromady zaczyna się miarkować.

Ale bo też życie chłoszcze ją niemiłosiernie. Handel ziemią w Poznańskiem musiał wywołać ogledność w rozdawnictwie zaszczytnych tytułów „naturalnym przodownikom narodu" i przyznanie, że w szlacheckiej owczarni nie każda owca jest zdrową. Dość sprawiedliwie wskazano przyczyny tej choroby. Pomału przetrzemy sobie wzrok również wobec stosunków miejscowych. Za nieopłacenie rat pożyczkowych Towarzystwo kred. ziems. wystawiło na sprzedaż blisko połowę majątków Królestwa polskiego: w gubernii warszawskiej

524, kaliskiej 453, płockiej 393, lubelskiej 371, radomskiej 370, piotrkowskiej 344, kieleckiej 289, suwalskiej 184, łomżyńskiej 170 — razem (możliwą jest tylko drobna niedokładność naszego podsumowania wykazów) *3,407*. Sumy tej nie wytłomaczą nam same „trudne warunki, w jakich się znajduje rolnictwo;“ trzeba koniecznie przyzwać do pomocy: marnotrastwo, życie nad stan, nieumiejętność gospodarczą, słowem, te wszystkie czynniki, które ziemian poznańskich zawiodły do komisyi kolonizacyjnej a naszych nad brzeg przepaści. Że u nas nie powtarza się takie same widowisko, to jedynie dlatego, iż nie ma wielkiej torby kuszącej patryotyzm i przywiązanie do ziemi ojczystej. Jeśli komu dla blagi, spekulacyi lub życia potrzebnom jest złudzenie, niech się łudzi, że byłoby inaczej. My wolimy patrzeć na rzeczywistość bez ubarwnień. Wierzymy w wytrwałość i mocne charaktery ludzi biednych, ale nie wierzymy w tę siłę u zbiedniałych panów, nawykłych do wygody, niezdolnych i niechętnych do pracy, mających zawsze większe wymagania i pretensye, niż los dla nich dary. Tego rodzaju żywioły w niepowodzeniu gniją. Mogą być zdrowe, względnie uczciwe, dopóki nie uczuje głodu ich samolubstwo; wtedy jego tylko słuchają. Zjawisko to dostrzegamy wszędzie i we wszystkich warstwach społecznych. Może najwięcej jest ludzi, których wartość moralna zależy wprost od sumy środków materyalnych: jedni są prawi przy 1,000 rs. dochodu, inni przy 2—3—4,000 — i tak dalej. Znałem pewnego szubrawca, który obecnie, zdwoiwszy swój zarobek, jest porządnym i szanowanym przedsiębiorcą. Człowiek jednako uczciwy w dostatku i biedzie jest wyjątkiem równie rzadkim, jak oswojony jastrząb. I „szlachta“ nasza była lepszą, dopóki była zamożną.

Zapewne, 3,400 dóbr wystawionych na licytacyę, to jeszcze nie tyleż sprzedanych, gdyż w ostatniej chwili procenty od pożyczki Towarzystwu opłaci. W każdym jednak razie cyfra to wymowna. Szczegółowy jej rozkład na gubernie nastręcza również wnioski ciekawe. Ilość bowiem majątków subhastowanych nie odpowiada rozległości terytoryalnej. Tak np. najbardziej zalega Towarzystwu gub. warszawska, która co do obszaru zajmuje miejsce drugie; największa zaś lubelska w szeregu dłużniczek jest czwartą. Okropnie przedstawia się kaliska: ósma obwodem, druga długami; na 197,5 mil kw. ma 453 majątki wykazane do sprzedaży. Za nią idzie płocka, która na 188 m. k. ma 393. A przecież zbyt zboża za granicę w tych guberniach posiada rynki bliższe, a przecież prasa tam najmniej dziś liczy abonentów. Nie śmiejcie się, od wyrzucenia pism i postu książkowego „inteligencya wiejska“ rozpoczęła swoje oszczędności „w tych ciężkich czasach.“ Były to przedmioty zbytku, więc je wykreślono naprzód z budżetu wydatków. Mniej uszczuplono magazynom i winiarniom. Jakże inaczej postąpili o miedzę tylko od gubernij kaliskiej i płockiej oddaleni „ciemni chłopi,“ którzy również dźwigają brzemię tych ciężkich czasów! Korespondent poznański *Kuryera codziennego* donosi nam o dziwnem marnotrawstwie polskiego ludu. „Wypisują — powiada on — gazety nasze prości chłopi z nad brzegów Bałtyku i Górnego Szlązka, z Prus królewskich i katolickiej Warmii. Aby wam dać pojęcie o sile tej prasy, powiem, że na Górnym Szlązku, gdzie szlachta jest zupełnie zniemczona, a tylko lud polski pozostał w poważnej liczbie miliona dusz, rozchodzi się kilkanaście tysięcy egzemplarzy gazet polskich.“ Nie, ci szaleńcy, trwoniący swój ciężko zapracowany grosz na pisma ojczyste, nie muszą być naszymi braćmi, nawet „młodszymi,“ gdyż inaczej widzielibyśmy, z którego końca rozrzutność obcinać należy. A jednak wyrywa mi się z piersi westchnienie: czemu nasz lud czytać i myśleć nie umie!

Jak wiadomo, z pobudki ministeryum skarbu petersburskie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu wezwało swe oddziały prowincyonalne o przedstawienie życzeń interesowanych co do podwyżki rozmaitych pozycyj taryfy celnej. Właśnie przed kilku dniami zaczął obradować nad tym przedmiotem oddział warszawski. Łatwem było do przewidzenia, że zabrzmi on chórem głosów, żądających ochrony dla przemysłu miejscowego. Ale ponieważ świat został urządzony tak fatalnie, że często co jednego głaszcze, to drugiego drapie, więc również można było wywróżyć, że te modły do bogów protekcyonizmu będą przeplatane walkami. I tak się stało. Białoskórnicy np. pragnęliby podnieść cło od skór wyprawnych, ale to zaszkodziłoby introligatorom i rękawicznikom, którzy pewne gatunki tych towarów muszą sprowadzać z zagranicy. Jak tu ich pogodzić? Podobna sprzeczność interesów wystąpi w wielu innych stosunkach, a Towarzystwo znajdzie się wobec zadania kwadratury koła. Gdy zaś już najgodniejsze ochrony kierunki pracy otoczy swą opieką, gdy znajdzie posłuch u swej macierzy, a macierz zyska zgodę władzy, wtedy wejdziemy w epokę twardego protekcyonizmu, który pewne gałęzie przemysłu rozwinie a innym dla partactwa szerokie otworzy pole. Który z tych dwu skutków przeważy — dziś orzec trudno. W każdym razie to pewna, że przemysł nasz, uwolniony od współzawodnictwa z zagranicznym, wyprowadzi na rynek tandetę, która zwłaszcza w czasach ogólnego zubożenia rozpostrze swe panowanie. Zbyt mało zaś jesteśmy dojrzali ekonomicznie, zbyt niedaleko sięgamy w swych rachubach, zbyt szybko pragniemy wzbogacać się, ażebyśmy nie ulegli tej pokusie. Kiedyś, gdy granica dla wyrobów obcych zostanie szerzej otwartą, zaczną się walić w gruzy pod ciosami konkurencyi sztucznie podtrzymywane gmachy partactwa i zrzucą na nas brzemię nowego przesilenia.

Królestwo polskie, a raczej Warszawa w dziedzinie wyrobów platerowanych stanowi bardzo poważne ognisko nawet dla Europy. Tymczasem niedawno założył ktoś fabrykę tandety tego towaru, naturalnie sprzedawanego po bardzo nizkich cenach, i zmusił producentów rzeczy dobrych a kosztowniejszych do zaprowadzenia przy swych warsztatach również oddziału tandety. Tym sposobem np. firma X. wyrabia *imiennie* łyżki lepiej srebrzone, które sprzedaje po 12 rs. za tuzin, a *bezimiennie* licho srebrzone, które jej pośrednicy zbywają po 4 rs. Tak zwycięża tandeta przy współzawodnictwie, a cóż dopiero bez niego!

Niech czytelnik nie sądzi, ażebyśmy tu wyrażali bezwzględną nieprzyjaźń dla protekcyonizmu; owszem w pewnych warunkach jest on koniecznym i stanowi ważny środek obrony bytu materyalnego społeczeństw. Ale nie należy w nim widzieć jedynego zbawienia, a nadewszystko nie należy zbyt ufać interesom osobistym, które pod jego skrzydła się chronią. To zaś egoizmy słyszeliśmy często krzyczące w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Likwidacya jako deska zbawienia dla gnijącej szlachty. — Ziemiańska spółka ogniowa. — Przez obrazę odkrywa się kruchość „Zgody“ płockiej. — Samodzielność włościan w Sokolnikach. — Rabujący przekupnie i ich ofiary. — Miłość dla rzemieślników i drobnych przemysłowców. — Podwójne komorne. — Skruszony fabrykant. — Czuły dyrektor trupy prowincyonalnej. — Panowanie zbójów i opryszków.

Uważny czytelnik naszych pism łatwo dostrzeże zwrot w traktowaniu „interesów szlacheckich.“ Zrazu lamenty świdrowały w uszach i drapały po nerwach, potem łkania i zawodzenia przeszły w spokojny płacz. Dziś „trzeźwi,“ którzy sami szaty rozdarli na sobie i włosienice przywdzieli, koją zrozpaczonych praktycznemi radami. Nie każdy z tych głosów pokutniczych odznacza się potęgą apostolsko-proroczą. Silniejszy z nich, bo poparty faktami przekonywującemi, ozwał się z *Gazety rolniczej*. Kto chce być zbawionym, niech się zaciągnie do chorągwi pod godłem: *likwidacya*. „Nawoływacz“ wydobywa na wierzch wielką prawdę, znaną u nas od dawna: Najpostępowsi gospodarze i ściśle na pozór rachunkowi nie przewidują jeszcze losów swych majątków w przyszłości. Brak każdemu małej rzeczy — dowodów: 1) że ma zamiar i możność spłacenia kiedyś długów hypotecznych; 2) że będzie mógł uiszczać procenty regularnie i długów nadal nie zaciągnie; 3) że posiada środki podniesienia dochodu z majątku. Gdy się nie uda wypełnić tych trzech punktów, co robić? Rzecz prosta, poszukać kapitalisty i sprzedać mu ziemię, ale jak? Gdy wszelkie środki utrzymania jej wyczerpią się zupełnie, gdy z lasu pozostaną wycinki, z pól nieużytki, w księdze hypotecznej wszystkie stronice zapisane, a nadto cały szereg długów pobocznych, „wymuszonych, pozaciąganych bez żadnej nadziei oddania,“ wtedy „wolna ręka“ traci władzę. Jakiż punkt wyjścia z tej matni? Oto kilka prawd z *Gaz. rolniczej*, nadających się do katechizmu szlacheckiego: dłużnik i wierzyciel powinni pamiętać, że majątek z zaprzedaną do połowy wartości hipoteką jest właściwie majątkiem „Towarzystwa udziałowego.“ Z ogólnej, pozornej wartości dóbr wierzyciele nabyli częściowo sumy całego kapitału, czyli stali się współwłaścicielami. Jeżeli dobra oszacowane są przez Tow. kredytowe np. na 100,000 rs., to pierwsza połowa ich wartości (50,000 rs.) stanowi własność porządkowych wierzycieli hipotecznych, druga zaś — tytularnego właściciela, czyli „głównego akcyonaryusza“ (?). Utrzymanie majątków w wartości powyższej należy do tego ostatniego. Jeżeli upadło gospodarstwo z winy posiadacza, on tylko sam ponosi straty. Gdy nastąpił zastój w handlu zbożowym, powodujący upadek cen nie z winy właściciela, straty powinny być wspólne. W danym razie wcześniej czy później — nieuchronna likwidacya. Przykład świeży: majątek (64 włók) oszacowany był na 128,000 rs., długi hipoteczne w 29 pozycyach — 88,532 rs. Na mocy porozumienia się ze wszystkimi wierzycielami zawarto układ: „wypośrodkowano“ (?) ogólną wartość majątku. Jedną połowę przeznaczono na spłatę wierzycieli, środek zaś, folwark główny z obszarem zmniejszonym do stanu zupełnego oczyszczenia z długów, pozostał właścicielowi. Spłata odbyła się ziemią. „Niżej stojący“ wierzyciele, ze względu, iż przy sprzedaży przymusowej straciliby kapitały swoje całkowicie, chętnie zgodzili się na odebranie gruntów w cenie stosownej do szacunku ogólnego. Używalność natychmiastowa dała dochód z ziemi odrazu w zamian za odsetki. Największe korzyści osiągnął zlikwidowany właściciel. Siedzibę utrzymał dla siebie, grunty przykrajane odpowiednio utworzyły jednostkę gospodarstwa niezmiernie praktyczną i intratną. Wszelkie oddalone szmaty, wycinki i nieużytki oddano za długi. Wielkiem ułatwieniem w takich razach jest sprzedaż pojedynczych działków włościanom okolicznym z przekazaniem należności za nie na spłatę tych wierzycieli, którzy nie chcą lub nie mogą wejść w posiadanie gruntów. Krańcowość i w tym razie do dobrego nie prowadzi, np. przy całkowitem działkowaniu ziemi. Włościanom brak na to kapitałów, gmatwanina prawna powoduje zrywanie układów, nabywcy siermiężni, narażeni przez to na straty, zniechęcają się do śliskiej ziemi dworskiej. Inaczej się rzecz ma po załatwieniu głównych wierzycieli hipotecznych i dłu-

gu Tow. kredytowego. Włościanie chętnie nabywają pozostałe drobne działki.

Znośniej jest cierpieć, gdy się widzi innych cierpienia. Znam człowieka nerwowego, który z pewną pociechą dopatruje nawet u kotów miejskich rozstrój nerwowy. Pan L. S. W. w *Gaz. rolniczej* pociesza siebie i drugich tem, że nietylko my, lecz i inne narody nie są bez wad, że i one cierpią wskutek „stagnacyi ogólno-europejskiej.“ Pomimo to sam przyznaje *naszym* wadę górującą — brak rachunkowości. I w Saksonii nie było idealnie, a jednak gospodarstwo rolne wtedy tam zakwitło, gdy zmniejszono zastępy ekonomów i dozorców, a zwiększono liczbę buchhalterów.

Na szczęście są jeszcze tacy, którzy o likwidacyi nie myślą, lecz mniej skrępowani długami, starają się byt swój w inny sposób podtrzymać. W okolicach Radomia — według słów *Gazety* miejscowej — właściciele 40 folwarków podali sobie bratnie dłonie w celu wzajemnego ubezpieczenia od ognia ziemiopłodów i inwentarza na lat trzy. Każdy ze stowarzyszonych tem większy będzie miał udział w zyskach, im mniej się zdarzy pożarów. Ten warunek może stanie się węzłem serdecznym i nierozerwalnym do chwili trwania *widocznego* powodzenia. Wszakże i „Zgoda“ płocka zrazu była wierną swej nazwie, dopóki przed oczami jej członków różowe igrały światełka. Gdy te znikły, zarząd stał się kapłanem bez wiary wewnętrznej, usiłujący natchnąć nią rzesze. Lecz oto długoletni członek instytucyi, za niedokładne o nim szczegóły w sprawozdaniu, w poczuciu sprawiedliwości, gasi swego przybytku „sztuczny ogień, po którym nawet popiołów nie pozostało.“ Z szczerości *obrażonego* dowiedziałem się, że zarząd sklepu spożywczego w sprawozdaniu usiłuje pokazać *świetnem* to, co jest *szare*; że całkowity kapitał stowarzyszenia z małym zapasowym jest unieruchomiony w towarach, a obroty zdobywa się jedynie z codziennej sprzedaży; znaczną zaś jego część pochłania „niestosunkowa“ ilość długów sklepowych. Wskutek tego przy braku gotówki trudno o świeży towar, a gdy się go nabywa, to w lichym gatunku i na bardzo uciążliwych warunkach co do ceny. Na posiedzeniu nie poruszono ważnej sprawy, od której *stanowczo* zależy byt „Zgody“: uregulowania stosunku między wkładnikami i stowarzyszonymi (pierwsi w $^2/_3$, drudzy w $^1/_3$ są właścicielami sklepu). Wierzytelności wkładników, jako terminowe, mogą być żądane wtedy, gdy nie będzie gotówki, a więc — niechybna ruina stowarzyszenia i znaczne straty członków. Nie zastanowiono się nad tem, kto będzie odpowiedzialnym w razie strat. Dowiedziałem się jeszcze, że w łonie stowarzyszenia panuje nieprzezwyciężony wstręt do buchhalteryi, gdyż wszyscy wybrani członkowie zrzekli się po kolei tej czynności. Nasuwa się pytanie: po co istnieje zakład, sprzedający lichy towar i z konieczności po cenach wygórowanych? W tym razie szczytna zasada: „mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił“ — chybia celu.

We Lwowie powstaje pierwsza mleczarnia wiejska, założona i utrzymana przez *samych włościan*. Wieś Sokolniki na naradzie gminnej postanowiła zbiorowemi siłami prowadzić przedsiębiorstwo nabiałowe. Gromada ma dostarczać z całej wsi mleko codziennie własnym furgonem do miasta. Wybrany z grona członków gospodarz rozsyłać będzie nabiał po domach przez dziewczęta. Odbiór mleka na miejscu od każdego dostawcy podlega osobnemu nadzorowi. Gdyby to było w Radomskiem albo Lubelskiem, praktyczne panny i ich chełpliwi ojcowie możeby przypisali sobie zasługę szerzenia zmysłu praktycznego śród włościan. Ja zaś, wiedząc, że w okolicach Sokolników piękne Manie i „zwyczajne“ Zosie nie zajmują się tak poziomemi rzeczami, a głowy rodzin zaprzątnięte „podnioślejszemi sprawami“ — czuję wielką radość, że chłopi tam działają bez żadnych „wyższych“ bodźców.

Trochę więcej energii chłopom lubelskim przydałoby się dla obrony produktów spożywczych, przywożonych do miasta. Włościanie tamtejsi, to dzieci; można im krzywdę robić, a oni z ustami i oczami szeroko otwartemi patrzą z przestrachem dokoła. Zaledwie zjawią się na targ kobiety z masłem, w jednej chwili jak mrowie sypią się zewsząd brudne żydówki, każda z nich łapie w ręce zabłocone osełkę i dla próby nadgryza, pozostawiając obok śladu zębów resztki cebuli pożutej — jak utrzymuje *Gazeta lubelska* dla większego zohydzenia konsumentów. Smutne jest położenie włościanki, posiadającej prócz masła śmietanę, mleko, jaja itp. Przekupka rzuca jej na kolana sumę uznaną przez siebie za odpowiednią, porywa przedmiot „kupiony“ i szybko odchodzi. Biedna producentka nie może porzucić reszty towaru i gonić rabusiów. Gorzej przy rogatce. Tam już wcześnie zasadzka urządzona. Chłopi idą i jadą z owocami, drobiem, cielętami, prowadzą wozy pełne zboża, kartofli, a serca im się radują na myśl, ile to będzie pieniędzy, gdy się uda dobrze sprzedać. Wtem wypada czarna banda zbirów, obsiada wozy, rozwiązuje worki, wyciąga cielęta. Tabor napadnięty staje i *musi* sprzedać towar przy rogatkach za bezcen. Na targ w miejsce wytwórców zjawiają się tryumfujący przekupnie, sprzedając mieszczuchom produkty za podwójną cenę. *Gazeta lubelska* oburza się na ten gwałt tylko dlatego, że mieszkańcy nie mogą nabywać towarów z pierwszej ręki.

Lublinianie chcą dowieść, iż nie wszyscy wiecznie myślą o blizkiej ciała koszuli. W pewnem gronie „powstała myśl“ zawiązania spółki celem dostarczania drobnym przemysłowcom i rzemieślnikom materyałów surowych *na kredyt* i... za umiarkowanym procentem. Trudno posądzić tych ludzi o bezinteresowność, ze względu na ostatni warunek. Wszakże pomimo to intercesowani *z wdzięcznością* przyjmą projekt w czyn obleczony. Wydobyć przemysł drobny z pod lichwy i dać mu kredyt, nazywa się „dobrodziejstwem“ naszego wieku.

Niesprawiedliwość i ciemnota — jest to: pani i sługa. Pierwsza łatwiej na kark wsiada, gdy druga grubieje. W Łodzi, w domu świeżo nabytym przez p. Müllera, mieszkało kilkunastu „ciemnych.“ Dawniejszy właściciel kamienicy potrafił od prostych duchem ściągnąć komorne. Byli w rozpaczy, gdy nowonabywca zażądał powtórnej wypłaty. Nie pomogło tłomaczenie się nieświadomością. Sprawę sąd rozstrzygnął na korzyść p. Müllera. Obaj kamienicznicy, silni prawem, kpią teraz z naiwnych, którzy ratami tygodniowy swój zarobek oddają powtórnie na komorne.

Nie zawsze koło w jeden tor wpada. Możnowładcy potężni we własnych fabrykach, korni bywają w sądach. P. Karol Kretschmer, właściciel przędzalni i tkalni, trzymał przy pracy dziewięciu malców po 12 godzin dziennie. Siedmiu innych nie miało metryk. Inspektor fabryczny zaskarżył pana K., który chcąc uniknąć przykrych wrażeń, w zastępstwie postawił swego brata przed oczami sprawiedliwości. Ten miał upoważnienie ze skruchą przyznać się do winy, za co zapłacił tylko 100 rs. kary.

Zajrzyjmy za kulisy „artystów.“ Wybredni! narzekają na macosze traktowanie przez swych dyrektorów. Przecież w Łodzi chlebodawca płaci im mieszkania, chociaż tego niema w kontrakcie. „Pierwszorzędnych“ umieścił w hotelach, chórzystom zaś dał pokój w nowym domu jeszcze nieskończonym. Za kilka kopiejek kupił przegniłej wilgotnej słomy i kazał na podściół rozrzucić po izbie. Trzodka wędrowna wieczorem słodko rycząc: „O Menuelo! buzi daj!..“ idzie potem na miły spoczynek do obory. Płci pięknej pozostawiono prawo pod firmą artystyczną zarabiania w inny sposób na sienniki o suchej i świeżej słomie. Tenory i basy, inaczej stworzeni, godzą się z losem.

Szczytna rezygnacya zawładnęła mieszkańcami prowincyi wobec... złodziejów i zbójów. Średniowieczna potęga wróciła do nich w zupełności, a kto się ośmieli im sprzeciwić, zginie od ognia lub kuli. Gdy się znajdzie jakiś zuchwalec, co się opiera łotrom, truchleją ze zgrozy mieszkańcy okoliczni. Niedawno pod Lubarem napadło kilku zbójów na młodego atletę, który nietylko sam się obronił, lecz ujął dwóch złoczyńców i związanych do miasta dostawił. Radzono mu, aby ich puścił i przeprosił za „nietykietalne“ na razie obejście się, bo inaczej towarzysze pojmanych srogo się nad nim zemszczą. W Dąbrowie Górniczej dyrektor Delmont, w którego mieszkaniu stróż zabił bandytę Przybylskiego, musi się uciekać pod skrzydła władzy i dom opuścić, bo obiecano kulą go potraktować. Jeden zginął, a natomiast budzi tamże postrach siłacz Hilla, o którym przerażeni mieszkańcy bajeczne rzeczy opowiadają. Złoczyńca kilkakrotnie wydostawał się z więzienia, wyłamując kraty lub rozbijając konwój. Co począć wobec bezkarności? W okolicach Końskich dwaj złodzieje mają odpowiadać „z wolnej nogi,“ pomimo że poszkodowani jednogłośnie świadczą przeciwko nim. Kto wie, może w przyszłości, ujarzmieni przez opryszków, będziemy im składać stałe okupy i hołdy poddańcze...

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Koleje. Termin wykupu przez rząd niektórych kolei w Królestwie Polskiem już upłynął. Ministeryum komunikacyi w porozumieniu z ministeryum skarbu opracowywa obecnie przepisy o sposobie nabycia tych dróg na rzecz państwa. Starania o połączenie kolei Terespolskiej z Nadwiślańską będą uchylone, gdyż pierwsza z nich zostanie przyłączona wkrótce do kolei Moskiewsko-Brzeskiej; cała linia otrzyma nazwę kolei Moskiewsko-Warszawskiej. Na własność rządu przejdą odnogi: Brzesko-Włodawska i Siedlecko-Małkińska. Ministeryum komunikacyi uważa, że sposób administrowania temi odnogami pozostawia wiele do życzenia, gdyż skład służby stanowią polacy i niemcy. Prócz tego podniesioną będzie sprawa konwencyi pomiędzy temi kolejami a towarzystwem dróg południowo-zachodnich, dalej towarzystwem „morskiej żeglugi i handlu,“ tudzież koleją kaukazką dla przewozu towarów łódzkich i zagranicznych na Kaukaz i do Taszkentu. Taryfy konwencyjne są tak nizkie, iż nie pokrywały kosztów przewozu, gdyby nie gwarancya rządowa. Z tego powodu niektóre ze stowarzyszonych kolei zażądały podwyższenia taryf prawie w dwójnasób. Wskutek różnicy zdań w tej sprawie postanowiono zwołać zjazd przedstawicieli oddzielnych kolei do Warszawy lub Odesy.

Muzeum pszczelnicze. Nowy zarząd składa się z pp. K. Lewickiego, A. Boguckiego, Br. Łempickiego i ks. Józefa Ambrożewicza. Do końca bieżącego miesiąca przyjmują się zapisy praktykantów i praktykantek. Wykłady rozpoczną się w początku listopada. Przez zimowe miesiące aż do wiosny uczniowie winni obznajmić się z teoryą pszczelnictwa, nadto mężczyźni będą się uczyć stolarstwa, zastosowanego do budowy ulów. Z ogrodnictwa kurs zawierać będzie praktyczne wskazówki sadownictwa, warzywnictwa i kwiaciarstwa. Z nastąpieniem wiosny rozpocznie się praca w pasiekach i ogrodach aż do egzaminów jesiennych. Dla otrzymania świadectwa uzdolnienia, oprócz egzaminu, potrzeba odbyć systematycznie cały kurs 10-miesięczny. Nowy zarząd Muzeum zapewnia, iż gdyby nawet skutkiem braku środków nastąpiła jaka zmiana w prowadzeniu innych działów — w wykładach i zajęciach praktycznych nie będzie przerwy. Dwutygodnik *Pszczoła* zacznie znowu wychodzić.

Uniwersytet. Senat uniwersytetu warszawskiego sądził sprawę studentów, którzy brali udział w zajściach cyrkowych. Sądzeni byli jedynie ci, których winy udowodniło już śledztwo administracyjne. Senat

trzymał się stopniowania winy, przyjętego przez postanowienie generał-gubernatora warszawskiego. I tak: skazani przez postanowienie na 2 miesiące, 6 tygodni lub miesiąc wieży, słowem więcej nad dwa tygodnie, pozbawieni zostali prawa pobierania stypendyów i uwolnienia od wpisów przez czas pozostawania w uniwersytecie. Do tej kategoryi należą: Maksymilian Antonow, Leon Wasilkowski, Włodzimierz Talko, Ludwik Wiśniewski, Jan Borzuchowski (wszyscy z wydziału lekarskiego) i Adam Grabowski (z przyr.). Skazani w postanowieniu na 2 tygodnie wieży zostali pozbawieni prawa do stypendyów i uwalniania od wpisów przez ciąg jednego roku.

Kolej syberyjska. Komisya specyalna, wysłana przez rząd do Syberyi dla badań nad projektowaną linią syberyjską, przybyła do Tomska. Stamtąd zajmie się wkrótce wyznaczeniem drogi do Anczyńska (w gub. jenisejskiej). Roboty na tej przestrzeni mają być ukończone przed zimą, budowa zaś kolei między temi dwoma miastami rozpocznie się w roku przyszłym.

Bezrobocie. W przędzalni bawełny w Wysokowsku (pow. kliński, gub. moskiewska) robotnicy urządzili bezrobocie. Powodem były wydane nowe przepisy, dotyczące wewnętrznego porządku fabryki. Policya i żandarmerya usiłowały namowami przywrócić spokój. To wywołało jeszcze większe wzburzenie, robotnicy usiłowali rozbić skład fabryczny. We dwa dni potem zjechał na miejsce p. o. gubernatora z dwoma secinami kozaków. Po otrzymaniu stosownego zapewnienia od zarządu fabryki, gubernator zaproponował robotnikom obrachunek po dzień zaniechania pracy, przyczem nakłaniał, aby zajęcia przedłużali aż do wyjścia terminu umówionego. Robotnicy po namyśle zgodzili się. Głównych sprawców bezrobocia pociągnięto do odpowiedzialności.

W Elizawetgradzie (gub. chersońska) wykonano wyrok śmierci przez powieszenie na niejakim Czygóryńskim, mordercy całej rodziny z dziesięciu osób złożonej.

Nadzór nad prawidłowem bywaniem studentów na wykładach wprowadzono w uniwersytecie petersburskim. Student, nieprzychodzący przez cały tydzień, powinien zawiadomić inspekcyę o przyczynie. Wydział w końcu półrocza z obrachunku lekcyj opuszczonych może uznać, że student nie przebył półrocza.

Leczenie domowe w wypadkach lekkich, oraz postępowanie z chorymi przed przybyciem lekarza, zwłaszcza tam, gdzie on natychmiast wezwanym być nie może — zwykle u nas pozostawione jest staraniom improwizującym pomoc lub gusłom wiejskim. Dla dogodzenia tej potrzebie nakładem *Prawdy* wyjdzie wkrótce przez doświadczonego i ze stosunkami prowincyonalnymi obznajmionego lekarza encyklopedycznie ułożony przewodnik, zawierający odpowiednie rady i wskazówki.

Ministeryum dóbr wnosi do rady państwa dwa projekty: 1) wprowadzenie w Królestwie Polskiem opłaty od wyrobionego surowca po $1\frac{1}{2}$ kop. od puda (jak w fabrykach na Uralu) dla zrównoważenia warunków konkurencyi wewnętrznej; 2) wprowadzenie w Królestwie racyonalnych sposobów eksploatacyi kopalń węgla kamiennego. Tym sposobem mają się podnieść koszty wydobywania węgla, przez co cena wzrośnie prawie w dwójnasób. Oba powyższe prawa czynią zadość uchwale Rady państwa z d. 25 kwietnia co do ograniczenia konkurencyi przemysłowi wewnętrznemu Cesarstwa ze strony zakładów w okręgu zachodnim.

W Peszcie zawiązało się stowarzyszenie polskie w celu eksploatacyi lasów na Węgrzech.

Paszporty. Według nowego projektu, oprócz osób otrzymujących już teraz bezpłatne paszporty, zwolnione będą od opłaty osoby, niemające lat 18, znajdujące się w zakładach dobroczynnych i żołnierze pobierający wsparcia ze skarbu.

Urzędnicy kolei Nadwiślańskiej, spadli z etatu, którzy wysłużyli lat 12, otrzymają emeryturę w stosunku $\frac{1}{4}$ pobieranej pensyi; ci zaś, którzy wysłużyli mniejszą liczbę lat, otrzymają roczną, półroczną lub trzymiesięczną pensyę. Niektórzy, po wykreśleniu ich teraz z listy etatowej, pobierają za zajęcia biurowe dyety dzienne i otrzymywać je będą do Nowego roku.

Dr. Chałubiński, rozdawszy przez 40 lat swej genialnej praktyki tyle zdrowia innym, zaczął myśleć o nadwątlonem własnem i zawiesił wyjazdy, ograniczywszy się do udzielania porady w domu. Tysiące serc wdzięcznych wraz z nami życzą niewątpliwie czcigodnemu profesorowi jaknajszybszego wyrównania ubytku sił w długoletniej i ciężkiej pracy.

W Tomsku, według postanowienia ministra oświaty, otwarty będzie w jesieni r. p. uniwersytet.

Bibliografia polska. S. Goldflam, *O t. z. rozsianem zapaleniu nerwów* (odbitka z *Medycyny*), str. 44.

— Dr. Janżuł, *Przemysł fabryczny w Król. Pols.*, Petersburg, str. 86, nakł. *Kraju*.

— Klemens Junosza, *Przez różowe szkiełka*, powieść, str. 153.

— Koralina, *Flisak*, powieść, str. 88.

— M. Synoradzki, *Szaraczki*, powieść, str. 130.

— A. Dygasiński, *Nowe tajemnice Warszawy*, powieść, 2 tomy, str. 218 i 224.

— T. M. Dostojewski, *Zbrodnia i kara*, tłom. B. Londyński, powieść, 2 tomy, str. 294 i 260 (nakłady *Bibl. rom. i pow.*).

— W. K. Zieliński, *Idylla*, obrazek sceniczny, str. 31. Arct.

— L. Niemojowski, *Po za domem*, powieść dla młodzieży, str. 122.

— *Nowa gmina*, albo rozmowa wójta z plebanem, str. 15.

— A. Czaryna, *Powieść Oryla*, sielanka, str. 39.

— W. Czajewski, *Rzecz niedowiedziona*, czy ogon należy do psa, czy pies do ogona, komedya wierszem, str. 246 (nakłady *Tyg. powsz.*).

Zmarli. Franciszek Rutowski, w Warszawie, były główny naczelnik wydziału kontroli b. Banku polskiego. Przed r. 1861 był profesorem buchhalteryi w Instytucie gospodarstwa w Marymoncie, a później w szkole niedzielno-handlowej.

— Ludwik hr. Jabłonowski, we Lwowie, oficer b. wojsk polskich. W młodości uprawiał literaturę. Sporo utworów wierszowanych umieszczał w ówczesnych pismach peryodycznych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

O. S. W treści i formie za dużo komunału.

J. Byl. To nie utwory literackie.

W. S. K. Wątek dość świeży, ale brak w nim mocnego zadziergnięcia, a przytem charaktery nierozświetlone przesuwają się jak cienie. Skutkiem tego wysnuwa się historya zwykła: cygan chciał ukraść konia i dziewczynę, ale mu się nie udało.

A. Krzy. Wytworność stylu *Przegl. katol.* w przezywaniu ludzi, którzy „nie ślinią księżom rękawów" i bogaceniu słownika wymysłów, stała się już przysłowiową. Szkoda więc miejsca na umycie korespondencyi tego pisma w nr. 41.

P. Z. Prz. w Gl. Wobec zamieszczonej w przeszłym numerze korespondencyi, Pańska obrona proboszcza humańskiego jest zbyteczną. Nawet względem tej klasy ludzi nie żywimy ślepego fanatyzmu i wolimy z Panem przyznać, że ks. Z. zasługuje na szacunek, niż na naganę.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Октября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.